



*Catherine Spencer*



*Święta w Kanadzie*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Domenico na ogół nie zwracał uwagi na turystów. Jednak tego ranka akurat przechodził dziedzińcem do swojego biura na tyłach głównego budynku, gdy ostatnia grupa zwiedzających wyłoniła się z winnicy. Wszyscy oprócz jednej kobiety zmierzali prosto do sali degustacyjnej. Natomiast ona pozostała na dworze i zasypywała pytaniami jego stryja Brunona.

A Bruno, chociaż zawsze odnosił się uprzejmie do zwiedzających winnicę, nie lubił głupich pytań. Fakt, że tym razem rozmowa go zainteresowała, wydawał się na tyle niezwykły, że zaciekawiony Domenico zatrzymał się.

Kobieta była wysoka, szczupła, o raczej przeciętnej urodzie, mogła mieć około trzydziestki. Sądząc po zaróżowionej twarzy, chyba dopiero przyjechała na Sardinie i jeszcze nie przyzwyczała się do słońca. Jeżeli nie chce dostać udaru cieplnego i spędzić reszty wakacji w łóżku, pomyślał Domenico, powinna nosić kapelusz. Z gołą głową po prostu prosi się o kłopoty.

Stryj musiał pomyśleć to samo, bo poprowadził ją do ławki pod drzewem. Domenico, coraz bardziej zaciekawiony, podszedł na tyle blisko, by słyszeć, o czym mówią.

Bruno go zauważył i przywołał ręką.

- To z nim powinna pani porozmawiać - powiedział. - Mój bratanek mówi dobrze po angielsku, a poza tym jeśli czegoś nie wie o uprawie winorośli i produkcji wina, to znaczy, że nie jest to warte wiedzy. Nie bez powodu cieszy się międzynarodową sławą.

- *Signorina*, stryj jak zawsze przesadza. - Domenico uśmiechnął się do kobiety.

Spojrzała na niego i nagle zawiodła go zwykła ogłada. Przez moment zabrakło mu słów i tylko na nią patrzył.

Nie była piękna. A przynajmniej nie w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Ubrana skromnie: płócienna spódniczka do kolan, biała bawełniana bluzka z krótkimi rękawami i płaskie sandały. Włosy, chociaż lśniące, miała w nieokreślonym kolorze brązu, biodra wąskie jak u chłopca, mały biust. W niczym niepodobna do Ortensii Costanzy, z jej żywiołową urodą i bujnymi krągłościami. Natomiast tej kobiety mężczyzna mógłby nie zauważyć, chyba że spojrzalby w te wielkie piękne oczy.

Odzyskawszy równowagę, kontynuował:

- Jestem Domenico Silvaggio d'Avalos. Mogę być pani w czymś pomocny?

Wstała z wdziękiem i podała mu rękę.

- Arlene Russell - powiedziała przyjemnie modulowanym głosem. - Gdyby mógł mi pan poświęcić pół godzinki, chciałabym prosić o kilka informacji.

- Interesuje panią przemysł winiarski?

- Bardzo. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Widzi pan, niedawno weszłam w posiadanie winnicy i potrzebuję rady, jak przywrócić ją do właściwego stanu.

- Chyba nie sądzi pani, że to sprawa, którą można omówić w paru słowach?

- Oczywiście, że nie. Ale ja zamierzam zrobić wszystko, co będzie trzeba, żeby osiągnąć sukces, a skoro od czegoś muszę zacząć, czy istnieje lepsze miejsce niż to, żeby się czegoś nauczyć?

- Poświęć jej tę godzinkę - mruknął stryj po sardyńsku, w języku, w którym wyspiarze rozmawiali najczęściej. - Jest spragniona wiedzy jak gąbka, nie tak jak wszyscy inni, którzy są spragnieni jedynie wina pitego na twój koszt.

- Nie mam czasu.

- Och, zaproś ją na lunch.

Arlene przesuwiała spojrzenie od jednego do drugiego. Chociaż nie rozumiała, co mówią, wyraźnie widziała, że Domenico jest zirytowany.

- *Signor d'Avalos*, proszę mi wybaczyć. Obawiam się, że zachowałam się niegrzecznie, prosząc o zbyt wiele. - Potem z uśmiechem odwróciła się do Brunona.  
- Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać, *signor*. Był pan bardzo uprzejmy.

W przeciwieństwie do mnie, dopowiedział sobie Domenico i poczuł niechciany przyływ sympatii do niej.

- Właściwie - odezwał się szybko, żeby się nie rozmyślić - mam wolną godzinę przed popołudniowymi zajęciami. Nie obiecuję, że w tak krótkim czasie nauczę panią wszystkiego, ale przynajmniej skieruję do odpowiednich osób.

Nie oszukała jej ta spóźniona uprzejmość.

- W porządku, *signor*. Jasno pan dał do zrozumienia, że ma pan ważniejsze zajęcia.

- Jednak muszę zjeść lunch - powiedział, myśląc, że Arlene jest za szczupła. - I sądząc po pani wyglądzie, pani też powinna się posilić. Proponuję, żebyśmy upiekli dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Chociaż duma kazała jej odrzucić zaproszenie, przeważył rozsądek.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała sztywno. - Jestem panu bardzo wdzięczna.

Wziął ją pod rękę i poprowadził do stojącego w pobliżu dżipa.

- Dokąd jedziemy? - spytała, gdy już siedzieli w samochodzie.

- Do mnie. Mój dom jest kilka kilometrów stąd, drogą wzdłuż wybrzeża.

- Myślałam, że zjemy tu, w barze.

- Bar jest dla turystów.

- Ja też jestem turystką.

- Dziś jest pani moim gościem.

Dom, pomyślała Arlene. Co za niedopowiedzenie. Z broszury reklamowej dowiedziała się, że winnice *Silvaggio d'Avalos*, w posiadaniu rodziny od trzech pokoleń, są jednymi z najlepszych na Sardynii. Teraz, gdy wjeżdżali na teren posiadłości, nie zadziwiły jej bramy z kutego żelaza, ozdobione herbem rodzinnym, ani długi podjazd prowadzący do prywatnych rezydencji zbudowanych na klifie nad

plażą. To, co Domenico tak obojętnie nazwał domem, w rzeczywistości było pałacową rezydencją. Poprowadził ją przez główne wejście na szeroką werandę z widokiem na morze, i wskazał wiklinowe fotele, wyłożone poduszkami.

- Proszę, niech pani usiądzie. Zaraz zajmę się lunchem.

- Niech pan sobie nie robi kłopotu - zaprotestowała, świadoma, że już miał przez nią wystarczająco dużo kłopotów jak na jeden dzień.

Uśmiechnął się i wziął telefon ze stojącego z boku stolika.

- To żaden kłopot. Poproszę, żeby nam coś przyniesiono z głównego domu.

Och, oczywiście. Czyżby naprawdę sobie wyobrażała, że Domenico zniknie w kuchni, przepasze się fartuchem i własnymi rękami przygotuje jakieś smakowite danie? I czy on naprawdę musi być tak niewybaczalnie przystojny? Przez to ona ledwo potrafi zebrać myśli. Wysoki, czarnowłosy - z tym mogłaby sobie poradzić. Jednak te piękne niebieskie oczy w twarzy o wyjątkowej męskiej urodzie, tego już było dla niej za dużo.

Po krótkiej rozmowie Domenico odłożył telefon i podszedł do barku.

- Czego się pani napije?

- Czegoś zimnego, i w dużej ilości.

Było jej gorąco, nie tylko z powodu upału. Przygotował wino pół na pół z wodą i kostkami lodu.

- To *vermentino*, z naszych własnych winogron - powiedział, siadając obok niej. - Orzeźwiająca, ale niezbyt mocna. A więc, *signorina* Russell, w jaki sposób weszła pani w posiadanie winnicy?

- Odziedziczyłam ją po stryjecznym dziadku.

- Kiedy?

- Dziesięć dni temu.

- Tutaj, na wyspie?

- Nie. W Kanadzie. Jestem Kanadyjką.

- Ach, rozumiem.

Ale najwyraźniej nic nie rozumiał. I zapewne zastanawiał się, co Arlene robi na Sardynii, skoro winnica jest na drugim końcu świata.

- Przyjechałam tu - zaczęła tłumaczyć, zanim Domenico mógłby uznać, że taka dyletantka nie jest warta jego czasu - bo już przedtem wykupiłam tę wycieczkę, i również dlatego, że ten spadek był taki nieoczekiwany. Pomyślałam, że lepiej nie zaczynać niczego, póki nie porozmawiam z kilkoma ekspertami, których tu, na Sardynii, jest wielu.

- Więc nie ma pani żadnego doświadczenia w sprawach winiarstwa?

- Nie. Jestem sekretarką w kancelarii prawniczej i mieszkam w Toronto. Prawdę mówiąc, ciągle jeszcze nie oswoiłam się z myślą, że teraz mam dom i akry winnicy w Kolumbii Brytyjskiej - to najbardziej na zachód położona prowincja Kanady.

- Wiem, gdzie jest Kolumbia Brytyjska - poinformował ją cierpko. - Widziała już pani tę posiadłość, czy też polega pani na informacjach z drugiej ręki?

- W zeszłym tygodniu spędziłam tam kilka dni.

- I czego się pani dowiedziała?

- Nic, prócz tego, że jest w bardzo złym stanie. I że w skład mojego spadku wchodzi również stary zarządca i dwa równie stare charty.

- Mogę spytać, co pani chce z tym zrobić?

- No, w każdym razie nie zamierzam rezygnować, jeżeli to właśnie pan sugeruje.

- Po prostu próbuję ustalić, czym pani dysponuje. Na przykład, ile dokładnie jest tych akrów?

- Siedem.

- A jaki gatunek winogron się tam uprawia?

- Nie wiem. - I zanim zdążył z niesmakiem zaproponować, by poszła zanudzać kogoś innego, dodała: - Zdaję sobie sprawę, że panu trudno to zrozumieć. Jednak ja

jestem całkowitą nowicjuską. Ale chcę się wszystkiego nauczyć, a od czegoś muszę zacząć. Dlatego właśnie poprosiłam pana o pomoc.

- I jest pani pewna, że ma dość wytrwałości, by spełnić swoje ambicje, prawda?

- O, tak.

Spojrzał na nią tak przenikliwie, że się zdenerwowała.

- Więc, jeżeli to, co mi pani mówiła, jest prawdą, muszę panią ostrzec, że nawet gdyby pani była ekspertem, to sukces wcale nie jest zagwarantowany. A przecież sama pani twierdzi, że nie jest ekspertem.

- Nie spodziewam się, że będzie łatwo - wydukała, tak oczarowana jego niebieskimi oczami, że trudno jej było myśleć. - Ale mówiłam poważnie. Sukces w tym przedsięwzięciu jest dla mnie bardzo ważny z wielu powodów, a nie ostatnim z nich jest to, że ode mnie będzie zależał dobrobyt innych ludzi. Jestem zdecydowana spróbować, chociaż liczę się z wielkimi trudnościami.

- Bardzo dobrze. - Pochylił się ku niej. - Wobec tego proszę wziąć coś do pisania i zaczynamy.

Przez następne pół godziny, zanim przyniesiono im lunch - homara na zimno w śmietankowo-winnym sosie, awokado z plasterkami pomidorów i chleb prosto z pieca - pisała i pisała, od czasu do czasu tylko zadając jakieś pytanie. Starła się skupić na wyjaśnieniach Domenica, ale jej myśli co chwila umykały. Zadawała nie te pytania, które chciała zadać. Na przykład zamiast pytać o to, kiedy należy zacząć zbierać winogrona, bardziej interesowało ją, skąd on tak doskonale zna angielski, po kim odziedziczył te cudowne oczy, ile ma lat, i czy w jego życiu jest jakaś kobieta.

Co chwila też jej wzrok wędrował do jego twarzy, do małego dołeczka w brodzie, wysokich kości policzkowych, pięknie opalonej skóry i lśniących czarnych włosów, do elegancko zarysowanych i gęstych rzęs ocieniających te nieprawdopodobnie błękitne oczy.

- No i co? Nie zniechęciłem pani? - spytał, gdy siadali do lunchu.



- Uświadomił mi pan, jakie czekają na mnie pułapki, których bez tego mogłabym nie rozpoznać - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. - Ale nie jestem zniechęcona. Wprost przeciwnie, jeszcze bardziej zdecydowana przywrócić moją winnicę do życia.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej o tym stryjecznym dziadku. Na przykład, dlaczego dopuścił do takiego zniszczenia winnicy?

- Zapewne dlatego, że był za stary, by się nią zajmować. Miał osiemdziesiąt cztery lata.

- Zapewne nie widywaliście się często?

- Nie. Nawet nie wiedziałam, że mam stryja, póki nie skontaktował się ze mną jego prawnik.

- I nie miał innych krewnych? Lepiej przygotowanych do prowadzenia winnicy?

- Nie wiem.

- Jak to?

Popatrzyła na niego sfrustrowana. To ona miała zadawać pytania, a nie on.

- Bo był krewnym ze strony mojego ojca.

- Nie traktowała pani ojca i jego rodziny jak krewnych?

- Ledwo znałam ojca. Umarł, gdy miałam siedem lat.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Ja pamiętam wielu krewnych z czasów, gdy miałem siedem lat.

- Pewnie dlatego, że w przeciwieństwie do mojej, członkowie pana rodziny są sobie bliscy.

- Pani rodzice się rozwiedli?

- Tak, ale nawet po rozwodzie wojna między nimi nigdy nie wygasła - wyjaśniła, wspominając jadowite komentarze matki, gdy prosiła o pozwolenie na odwiedzenie ojca albo na rozmowę przez telefon. - Miałam wtedy cztery lata i



matka zrobiła wszystko co w jej mocy, byśmy mieszkały na tyle daleko, żeby trudno było mi odwiedzać ojca.

Domenico z dezaprobatą pokręcił głową.

- Nie potrafię sobie wyobrazić takiej sytuacji. Gdy kobieta i mężczyzna razem stworzą dziecko, jego dobro jest dla nich ważniejsze niż ich osobiste szczęście.

- Piękna filozofia w teorii, *signor*, ale nie w praktyce, jeżeli rodzice mają diametralnie inne pragnienia i potrzeby.

- To jeszcze jeden powód, żeby mądrze wybierać małżonka, nie uważa pani?

Roześmiała się.

- Pan chyba nie jest żonaty!

- Nie - odparł i spojrzał na nią przenikliwie. - A pani ma męża?

- Nie. Ale jestem na tyle realistką, by wiedzieć, że jeżeli kiedyś wyjdę za mąż, obrączka na pewno nie będzie gwarancją trwałości małżeństwa.

- Ja nie nazwałbym tego realizmem. Raczej defetyzmem.

- Więc jest pan idealistą i nie bardzo zna prawdziwe życie.

- Och, nie. Moi rodzice są szczęśliwym małżeństwem od trzydziestu dziewięciu lat, a dziadkowie byli ze sobą szczęśliwi przez ponad pół wieku. I mam cztery siostry, wszystkie szczęśliwe w małżeństwie.

- Mimo to pan nadal jest sam.

- Rzeczywiście. Ale nie dlatego, że miałbym coś przeciwko małżeństwu.

Ojciec nie cieszy się dobrym zdrowiem i musiałem od niego przejąć interesy wcześniej, niż stałoby się to w normalnych okolicznościach. Przez to byłem bardzo zajęty i nie miałem za wiele czasu na poważne romansowanie. Ale jeżeli się ożenię, będę wierny do końca życia, niezależnie od tego, jakie trudności mógłbym napotkać. Dlatego zanim włożę komuś obrączkę na palec, będę musiał być pewny, że to właściwa kobieta.

- Ma pan listę wymagań, które musi spełniać?

- Oczywiście - odpowiedział, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. - Szczęście, seksualne dobranie i fizyczny pociąg są mniej ważne niż to, by kobieta spełniała odpowiednie warunki.

- To brzmi tak, jakby wierzył pan w aranżowane małżeństwa.

- Nie mam nic przeciwko nim.

- A więc szkoda mi kobiety, która zostanie pana żoną.

Roześmiał się.

- A mnie jest szkoda pani, *signorina*. To pani chce zaprzedać duszę za sprawę z góry przegraną.

- Wprost przeciwnie. Robię dokładnie to, co pan robi, żeniąc się. Trwam przy swojej decyzji, niezależnie od tego, jakie trudności napotkam. Jedyna różnica polega na tym, że w moim wypadku chodzi o winnicę, a nie o współmałżonka.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- No, dobrze - powiedział w końcu. - Ponieważ nie udało mi się pani zniechęcić, chyba muszę zrobić wszystko, by okazać się pomocnym.

- Już pan zrobił bardzo wiele! - wykrzyknęła, pokazując zapełniony notes.

- Teoria jest bardzo potrzebna, ale nic nie zastąpi praktyki. Tak więc mam pewną propozycję. Przyjmę panią jako uczennicę na czas, kiedy pani jest na Sardynii. Spędzi pani sporą część dnia, pracując w winnicy, zamiast oddawać się zwykłemu rozrywkom turystów. Ale skoro jest pani taka zdeterminowana...

- Och, jestem! - Wpadła w prawdziwą euforię na myśl o tym, że nie tylko zdobędzie przydatną wiedzę, lecz spędzi więcej czasu z Domenikiem.

Zaczął opowiadać, jak będzie przebiegał jej kurs wiedzy o winiarstwie. Jednak Arlene nie tyle słuchała tego, co on mówi, lecz tego, jak mówi. Jej uwaga koncentrowała się na jego pięknie rzeźbionych ustach. A mówił z pasją prawdziwego miłośnika winiarstwa. Ciekawe, czy kochałby się z taką samą pasją?

- *Signorina?* - Jego głos, głęboki i wyraźnie rozbawiony, przywołał ją do rzeczywistości. - Czy to już wszystko, czy też ma pani jeszcze jakieś pytania?

Miała mnóstwo, ale niezwiązanych z winoroślą.

- Nie, dziękuję. - Zażenowana spojrzała na zegarek i zerwała się z krzesła.

Prawie czwarta! - Och, nie miałam pojęcia, że już tak późno! Przepraszam, że nadużyłam pana gościnności.

- Wcale nie - powiedział uprzejmie, także wstając.

Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt, szczupły, ale mocno zbudowany. Wąskie biodra, szerokie ramiona.

Prowadząc ją do dżipa, spytał:

- Ma pani jakieś plany na resztę dnia?

- Nic specjalnego. Jesteśmy tu dopiero od wczoraj. Jeszcze się nie przyzwyczaiałam do tego klimatu. Chyba wrócę prosto do hotelu.

- Nie przyjechała pani sama?

- Nie.

- Wobec tego muszę przeprosić, że zająłem pani tyle czasu. - Wsiadł do samochodu. - Jutro zaczynamy zbiór winogron, co oznacza, że będziemy cały dzień w polu. Proszę włożyć solidniejsze buty i ubranie chroniące przed słońcem. Ma pani bardzo jasną cerę. Konieczny będzie kapelusz. Nie potrzebujemy w czasie pracy rozrywki w postaci pani mdlejącej od udaru słonecznego.

Jego nagła niecierpliwość wskazywała, że ma już jej dosyć. Romantyczne fantazje w jednej chwili się rozwiały.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- A więc, co ty na to? - spytała Arlene najlepszą przyjaciółkę i towarzyszkę podróży, Gail. Znalazła ją nad hotelowym basenem i z lekką obawą poinformowała o zmianie planów.

- W porządku. To okazja wprost zesłana przez niebo i nie możesz sobie pozwolić na to, by ją odrzucić.

- Ale miałyśmy inne plany.

- Nic się nie stanie, gdy je zmienimy - zapewniła ją serdecznie Gail. -

Przyjechałyśmy na odpoczynek, i ja z radością spędzę pół dnia na plaży albo na basenie. Może nie zauważyłaś, ale i tu, i tu aż się roi od wspaniałych mężczyzn. A jak tam Domenico? Podobał ci się?

- Jest dość przystojny - odparła Arlene, starając się mówić obojętnie, ale widocznie nie do końca jej się to udało, bo Gail zdjęła ciemne okulary i bacznie jej się przyjrzała.

- Ach! Opowiadaj!

- Nie ma o czym. - Jak mogła się przyznać przyjaciółce, że w ciągu zaledwie godziny niemal uznała, że właśnie spotkała Pana Właściwego? Gail by ją wyśmiała, i słusznie. - Po prostu nie czuję się przy nim pewnie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Onieśmiela mnie. Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo się fatygował dla takiej ignorantki jak ja, i obawiam się, że mogę go rozczarować.

- I co z tego? Dlaczego obchodzi cię to, co on sobie pomyśli?

Dlaczego? Może dlatego, że jeszcze nigdy nie czuła się tak żywa jak przez te parę godzin, które z nim spędziła.

- Pod koniec rozmowy zepsuł mu się humor - powiedziała ze smutkiem. - Chyba pożałował, że mnie zaprosił. Wydawał się niemal zły na mnie, chociaż nie potrafię zrozumieć dlaczego.

- Arlene, zrób sobie przysługę i przestań analizować jego zachowanie. Może i ma nieprzyjemny charakter, ale możesz bardzo skorzystać na znajomości z nim, i tylko to się liczy. A potem, gdy stąd wyjedziemy, już nigdy go nie zobaczysz.

Gail ma rację, powiedziała sobie Arlene. Ale mimo to czuła się jakoś dziwnie przygnębiona.

Tego wieczoru, podczas rodzinnej kolacji, wszyscy dobrodusznie kpili z Domenica.

- Gdzie ty znajdujesz te swoje kulawe kaczątka? - pytali szwagrowie.

Siostry żądały dodatkowych informacji.

- Jak ma na imię?

- Jest ładna?

- Zameżna?

- Ile ma lat?

- Domenico, powiedz, dlaczego twoim zdaniem jest taka wyjątkowa.

- Jest wyjątkowa - wtrącił się stryj Bruno, podsycając ich ciekawość do ostatecznych granic - bo to może być Ta Jedyna. Wiercie mi. Widziałem ją. Jest urocza.

Piski, jakie rozległy się po tej uwadze, sprawiły, że Domenico najchętniej uciekłby na drugi koniec świata. Jego matka i siostry przyjęły jako życiową misję znaleźć mu żonę i nie życzył sobie, by stryj jeszcze bardziej je do tego podjudzał.

- Nie mów głupstw, stryju - warknął. - To zwyczajna kobieta, ale w niezwykłym położeniu. Odziedziczyła winnicę i nie ma pojęcia, jak się nią zajmować. W takiej sytuacji pomógłbym każdemu, czy to kobiecie, czy mężczyźnie.

Ale ona nie jest mężczyzną, i Domenico był bardzo tego świadomy. Mądra i inteligentna, ale taka szczupła i delikatnej budowy. Zastanawiał się, jak poradzi sobie z ciężką pracą, jakiej wymaga uprawa winorośli.

To nie moja sprawa, powtarzał sobie raz po raz. Jednak podziwiał jej determinację, z przyjemnością też dyskutował z nią o małżeństwie, i omal nie zaprosił jej na kolację. Zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy się dowiedział, że nie przyjechała na Sardinie sama. Poczł się jak głupiec, bo wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Szkoda, że inny mężczyzna już rości sobie do niej prawo, pomyślał wtedy, pokrywając irytację szorstkością, której teraz żałował. Gdyby nie to, że tak bardzo jej zależało na zebraniu informacji, na pewno odrzuciłaby jego propozycję pomocy. On by tak zrobił na jej miejscu.

Gdy następnego dnia rano Arlene przyjechała do winnicy, praca była już w pełnym toku. Domenico podszedł, zmierzył ją krytycznym spojrzeniem, a potem skinął głową z aprobatą.

- Ujdzie - powiedział.

- Och, co za ulga!

Albo nie zauważył sarkazmu, albo wolał go zignorować.

- Ponieważ przez kilka następnych dni będziemy pracować obok siebie - oświadczył - zrezygnujmy z tych formalności. Mam na imię Domenico.

- A ja Arlene.

- Tak, pamiętam. A teraz zabierajmy się do roboty. Ci ludzie na ciężarówkach to zatrudnieni na sezon zbieracze. Nie wchodź im w drogę. Oni mają pracę do wykonania. Jeżeli będziesz miała jakieś pytania, zwracaj się do mnie albo do stryja.

Gdyby tylko dał jej szansę, zasalutowałaby i wykrzyknęła: Tak jest! Ale Domenico zagonił ją do dżipa i ruszył za obiema ciężarówkami. Przez całą drogę

rozmawiał przez telefon komórkowy. Gdy dojechali, stryj powitał Arlene serdecznym uśmiechem.

- Patrz i ucz się, a wrócisz do domu jako ekspert! - zawołał radośnie.

Tak dobrze nie będzie, pomyślała. Ale też nie wrócę jako kompletna nowicjuszka.

Domenico nie tracił czasu. Udzielając jej pierwszych wskazówek, poprowadził na stanowisko pracy. Pod jego kierunkiem zrywała grona, uczyła się rozpoznawać te, które z jakichś powodów należało odrzucić. Wreszcie, upewniwszy się, że nie zniszczy jego cennych winogron, Domenico odszedł zająć się innymi sprawami.

Im bliżej było południa, tym bardziej bolały ją plecy. Miała wrażenie, że słońce upiecze ją żywcem.

Wreszcie, gdy słońce stało już wysoko, podjechała półciężarówka. Cztery kobiety, siostry Domenica, natychmiast zaczęły wyładowywać na długi stół to, co przywiozły. Wszyscy zaczęli odkładać narzędzia, a Domenico podszedł do Arlene.

- Czas na przerwę i posiłek - oświadczył tym swoim wielkopańskim tonem.

Ale ją już bardzo bolała głowa. Nie była pewna, czy da radę dojść do stołu. Domenico chyba zauważył, w jakim jest stanie, bo jednym ruchem poderwał ją na nogi.

- Nadal chcesz prowadzić winnicę? - spytał.

- Pewnie. - Uwolniła rękę i jakoś dowlokła się w cień.

- Ile wody wypijaś? - spytał zirytowany.

- Chyba nie dość. Przyniosłam ze sobą butelkę, ale skończyłam ją wiele godzin temu.

- Nie zauważyłaś termosów przy końcu każdego rzędu? Nie przyszło ci do głowy spytać, po co tam stoją?

- Nie. - Przełknęła ślinę. Od zapachu ciepłego chleba, oliwy i sera zrobiło jej się niedobrze.



Domenico wymruczał jakieś przekleństwo, podszedł do stołu i rzucił jej butelkę zimnej wody.

- A mnie nie przyszło do głowy, by ci powiedzieć, że trzeba dużo pić.

Myślałem, że sama masz na to dość rozumu.

Renata, jedna z jego sióstr, w zaawansowanej ciąży, usłyszała jego słowa.

- Domenico, daj spokój! Nie widzisz, że ta nieszczęsna kobieta ma już dość na dzisiaj? - Podeszła do nich z pełnym talerzem. - Proszę, *signorina*. Przyniosłam pani coś do zjedzenia.

Arlene skrzywiła się. Głowa jej pękała, poza tym bała się, że jeżeli otworzy usta, by odpowiedzieć, wymiotuje.

Renata, mruczając słowa pociechy, uklękła przy niej.

- *Cara*, źle się czujesz. Jak mogę ci pomóc?

Arlene spojrzała na nią, ale nawet tak nieznaczny ruch jeszcze bardziej wzmógł ból.

- Boli mnie głowa - szepnęła, przyciskając rękę do skroni. Nienawidziła się za słabość, prawie tak samo, jak nienawidziła Domenica za to, że widzi ją w takim stanie.

- To chyba coś więcej niż ból głowy - stwierdziła Renata. - To migrena.

Powinna zejść z tego słońca.

- Sam to widzę - warknął.

- Więc zawieź ją do domu i niech mama się nią zajmie.

- Nie! - Arlene zdołała opanować kolejną falę mdłości.

Renata wyjęła lód z przenośnej lodówki, zawinęła go w lnianą ścierekę.

- Masz tu samochód, *cara*? - spytała, delikatnie przyciskając okład do karku

Arlene.

- Nie. Rano ktoś znajomy mnie podwiózł.

- I dobrze, bo nie byłabyś w stanie prowadzić.

Domenico jeszcze raz poderwał ją na nogi, tym razem jednak trochę delikatniej.

- *Avanti!* Jedziemy.

- Gdzie?

- Zawiozę cię do hotelu, zanim zemdlejesz. Wątpię, by ta znajoma osoba, z którą jesteś, doceniła w tym momencie, że leżysz płasko na plecach.

Gdyby nie czuła się tak okropnie, ostro zareagowałyby na jego uwagę. Ale stać ją było tylko na to, by pozwolić się załadować do dzipa, oprzeć głowę i zamknąć oczy.

Musiała przyznać, że po wyboistej drodze przez winnicę prowadził ostrożnie, ale gdy dojechali do szosy, maksymalnie przyspieszył. Zapytał jeszcze, w którym hotelu mieszka, a poza tym miłosiernie się nie odzywał.

Gdy w hotelu podeszli do windy, Gail akurat z niej wychodziła. Stała jak wryta.

- O Boże, Arlene, co się stało? Wyglądasz okropnie.

- Proszę nas przepuścić - zażądał Domenico, ponieważ Gail blokowała wejście. - Chcę ją odprowadzić do pokoju.

- Chwileczkę! - zawołała jej przyjaciółka, nie przejmując się jego władcym tonem. - Nigdzie jej pan nie zabierze beze mnie.

- Naprawdę? A kim pani jest?

- Współlokatorką Arlene.

- Pani jest jej znajomą?

- A pan jej mentorem? Tym, który niby miał ją nauczyć wszystkiego o uprawie winorośli?

- Tak.

- No więc gratuluję. Wykonał pan świetną robotę, upijając ją do nieprzytomności już w połowie dnia.

- Nic takiego nie zrobiłem. Za kogo mnie pani ma?

- Nie chciałby pan tego wiedzieć!

- Gail - odezwała się Arlene słabym głosem. - Wszystko w porządku. Po prostu boli mnie głowa, muszę się położyć.

- To migrena - dodał Domenico.

- Och. - Gail złagodniała. - Przepraszam.

- Proszę zamknąć żaluzje - nakazał Domenico, gdy znaleźli się w pokoju.

Sam tymczasem położył Arlene na łóżku, usiadł na jego brzegu i przesunął ręką po jej czole.

- Zamknij oczy, *cara* - mruknął, i nawet z głębin bólu wyczuła zmianę jego nastawienia.

Cokolwiek spowodowało jego wrogość wczoraj po południu i dziś rano, stopniało w głębokim, łagodnym ciepłe jego głosu.

- Nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim stanie - powiedziała Gail. - Może trzeba wezwać lekarza?

- Niech pani z nią zostanie i robi jej okłady z lodu na kark.

- Ale pan nie odejdzie?

- Zaraz wracam.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Arlene usiadła.

- Gail, chyba muszę zwymiotować.

- Dobrze, skarbie. Chodźmy do łazienki.

Potem Arlene umyła twarz zimną wodą i wróciła do łóżka.

- Nie martw się tak o mnie. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

- Świetnie. Odjęłaś mi dziesięć lat życia - odparła Gail i poszła otworzyć drzwi, bo ktoś zapukał. Spojrzała przez wizjer. - A teraz leż spokojnie i postaraj się wyglądać blado i interesująco. Wrócił twój sir Galahad, nie jest sam.

- Jak ona się czuje? - spytał Domenico natychmiast po wejściu do pokoju.

- Bez zmian.

- Więc dobrze, że przyprowadziłem lekarza. To doktor Zaccardo - dodał, gdy do łóżka podszedł mężczyzna w średnim wieku.

- Jest tak, jak pan przypuszczał - stwierdził lekarz po zbadaniu Arlene. - Zostawię lekarstwa. Niech weźmie od razu dwie pastylki, a potem, gdyby nadal się źle czuła, jeszcze dwie o szóstej. Jeżeli przez noc się nie poprawi, proszę się ze mną skontaktować, ale nie sądzę, by to było potrzebne. Jutro wszystko powinno być w porządku. *Arrivederci.*

I wyszedł, pozostawiając Gail z Domenikiem, który chyba nie zamierzał pójść w jego ślady. Wziął ze stołu hotelowy notes i coś w nim zapisał.

- Na wypadek, gdyby stan Arlene panią niepokoił, tu jest mój numer telefonu, i numer doktora. Ale i tak chciałbym, żeby pani do mnie zadzwoniła wieczorem i powiadomiła, jak ona się czuje.

- Na pewno jej się polepszy.

- Mimo to chciałbym, żeby pani zadzwoniła. I oczywiście zostanie pani z nią?

- Oczywiście.

- Więc do usłyszenia.

Gdy Arlene się obudziła, w pokoju było już zupełnie ciemno. Tylko obok fotela, gdzie siedziała Gail, czytając książkę, paliła się mała lampka.

Arlene odważyła się lekko poruszyć i wydała westchnienie ulgi. Nie było rozbłyskujących świateł przed oczami. W lewej skroni nie tłukł się młotek. A na stoliku do kawy stał bukiet przepięknych różowych róż.

- Obudziłaś się! - wykrzyknęła Gail. Zamknęła książkę i podeszła do łóżka. - Jak się czujesz?

- Lepiej. O wiele lepiej. Która godzina?

- Trochę po ósmej. Spałaś ponad sześć godzin. Chcesz wziąć lekarstwo?

Arlene ostrożnie usiadła.

- Chyba nie. Ale chętnie napiłabym się wody.

- Zaraz ci podam. - Gail poprawiła poduszki na łóżku i naląła szklanekę wody. - No i jak? - spytała niespokojnie, gdy Arlene wypila.

- Na razie dobrze. - Wskazała róże. - Są piękne, ale nie powinnaś była wydawać na nie pieniędzy. W końcu jeszcze nie umieram.

- Och, to nie ode mnie! On je przysłał. Proszę, zobacz. - Podała Arlene bilecik, na którym było napisane tylko: Domenico. - Niezbyt elokwentny, prawda?

- Raczej nie. - Ale Arlene ogarnęła falą słodkiej radości.

- Jednak rozkazy wydawać umie - zauważyła Gail. - Chyba do niego zadzwonię i powiem, że czujesz się lepiej.

Wybrała numer i natychmiast zaczęła mówić:

- Cześć, tu Gail Weaver... Tak, wiem, która jest godzina... Dzwonię, bo ona się obudziła... Właśnie teraz... Powiem, jeżeli wreszcie dopuści mnie pan do głosu! Nie, mówi, że nie potrzebuje... Bo jest dorosła, a to oznacza, że ona, a nie pan, będzie decydowała, co bierze... Nie wiem. Spytaam ją.

Odsunęła słuchawkę na odległość ramienia.

- Arlene, masz się porozmawiać z Jego Lordowską Mością? - spytała na tyle głośno, by Domenico mógł usłyszeć.

Arlene skinęła głową. Ledwo powstrzymała śmiech. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdarzyło się, by ktoś ośmielił się tak go potraktować.

- Halo, Domenico.

- Słyszę, że wyzdrowiałaś. - Całe jej ciało zawibrowało na dźwięk tego zmysłowego, wpadającego w bas barytonu. - Bardzo się cieszę.

- Dziękuję ci i za troskę, i za kwiaty. Jeżeli kobieta już musi odcierpieć migrenę, widok kwiatów po obudzeniu się sprawia, że troszkę łatwiej to znieść.

- Miło mi, że ci się podobają.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, Arlene myślała, że rozmowa już dobiegła końca.

- No więc, dobranoc...

Przerwał jej.

- Arlene, to moja wina, że zachorowałaś. Nie powinienem był zmuszać cię, żebyś pracowała tak długo jak inni. Nie jesteś przyzwyczajona do naszego klimatu. To było niewybaczalne z mojej strony i bardzo przepraszam.

- Nie trzeba. Słyszałaś, co powiedziała Gail. Jestem dorosła i sama powinnam była wcześniej powiedzieć, że źle się czuję. Sprawiałam ci sporo kłopotu, a ty jesteś zajęty przy zbiorze. To się więcej nie powtórzy.

- Chcesz powiedzieć, że zmieniłaś zdanie i nie wracasz do winnicy?

- Oczywiście, że wracam! Będę tam jutro, o ósmej rano, chyba że ty zmieniłeś zdanie.

- Nie, nie zmieniłem. A więc do jutra.

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

Arlene protestowała przeciw pomysłowi Domenica, ale w końcu spędziła następne cztery dni w jego biurze.

- Rozpieszczasz mnie - oskarżyła go, gdy powiedział, że już nie będzie pomagała przy zbiorze. - Myślisz, że nie mam dość siły, by tam pracować?

- Przeciwnie. Staram się dać ci tyle wiedzy, ile to tylko możliwe w tak krótkim czasie. Dzięki temu, gdy już zaczniesz pracować u siebie, będziesz lepiej wiedziała, czym zająć się w pierwszej kolejności.

Tak więc studiowała z książek metody irygacji, najlepszą ekspozycję na słońce, najrozmaitsze odmiany winogron, i jak wybrać najodpowiedniejsze rodzaje ziemi; zagłębiała się w informacje dotyczące kratownic, a potem Domenico omawiał z nią to, czego się nauczyła.

Postronny obserwator mógłby sądzić, że zajmują się jedynie nauką. I rzeczywiście, poświęcali na to mnóstwo czasu. Ale w tle działało się też coś mniej oczywistego. Bez jednego świadomego słowa czy gestu ze strony któregośkolwiek z nich narastało między nimi napięcie, coraz silniej zdawali sobie sprawę, że są kobietą i mężczyzną oddzielonymi od reszty świata grubymi drewnianymi drzwiami, które nie dopuszczają do nich ani rozprasających widoków i dźwięków, ani ludzi mogących zakłócić ich sam na sam.

Lekki zapach jego wody po goleniu i jej szamponu wisiał w powietrzu i dawał poczucie intymności. Jego głos brzmiał głębiej, gdy zwracał się do Arlene. Zmienił jej bardzo zwykłe imię na egzotycznie brzmiące: Ar-lay-na.

Czasami unosiła na niego wzrok znad starannie robionych notatek i widziała, jak jej się przygląda. Serce jej wtedy przyspieszało, krew krążyła szybciej. Nawet najbardziej przypadkowe dotknięcie jego ręki wystarczało, by ją głęboko poruszyć.



Była nim oczarowana. Jego wiedzą, cierpliwością, z jaką ją uczył, inteligencją i uczciwością.

Imponował jej szacunek, z jakim odnosili się do niego pracownicy, nie tylko ci zatrudnieni w winnicach koło domu. Szybko zorientowała się, że jego holdingi rozciągają się właściwie na cały świat. Był, jak to powiedział jego stryj, międzynarodową sławą w swojej dziedzinie.

Jednak najbardziej wzruszało ją jego oddanie rodzinie. Sama była samotnym, niechcianym dzieckiem, i nigdy nie zaznała takiej bliskości, jaką teraz obserwowała w tym domu.

Intuicja mówiła jej, że ona też go pociąga. Może zresztą wyobraźnia prowadziła ją na manowce. A jednak sposób, w jaki się do niej uśmiechał, jakby dzielili ze sobą coś wyjątkowego i osobistego... chyba nie obdarzał takim uśmiechem wszystkich kobiet?

Była po prostu ofiarą życzeniowego myślenia czy też jednak coś między nimi zaistniało?

- Na pewno tak! - zapewniła ją Gail, gdy wyjawiała swoje wątpliwości. - Widziałam to już tego wieczoru, gdy zadzwoniłam do niego, by mu powiedzieć, że czujesz się lepiej. Słyszałam waszą rozmowę, pamiętasz?

Arlene roześmiała się.

- Pamiętam, jak dyszałaś z wściekłości i jak wypijałaś zimną wodę prosto z dzbanka.

- A czego się spodziewałaś? Do licha, Arlene! Ten mężczyzna aż się do ciebie palił. Bałam się, że płomień przejdzie przez kabel i osmali ci ucho.

- To śmieszne! Przecież wtedy znaleźliśmy się zaledwie jeden dzień.

- I chyba wystarczyło. Przyznaj to. Właśnie gdy już byłaś gotowa zrezygnować z mężczyzn, spotkałaś takiego, który przyprawia cię o przyspieszone bicie serca.

- To jeszcze nie znaczy, że on czuje to samo wobec mnie.

- Skąd możesz wiedzieć? Pytałaś go?

Na samą myśl, że mogłaby coś takiego zrobić, Arlene oblała się zimnym potem.

- Nie ośmieliłabym się.

- Dlaczego? Wiesz, że nie jest żonaty, więc dlaczego nie pójść za ciosem i zobaczyć, gdzie cię to doprowadzi? Co masz do stracenia?

- Jego szacunek. A poza tym przecież może z kimś być.

- Albo czeka na jakąś zachętę z twojej strony.

- Po co miałabym go zachęcać, jeśli za dziewięć dni wyjeżdżam?

- Po to, by nie zamykać sobie drzwi na tak wspaniałą rzecz jak miłość.

- Nie wierzę w miłość - odparła Arlene. Ale wiedziała, że się oszukuje.

Gail westchnęła.

- A jednak miliony ludzi w nią wierzą i udowadniają, że istnieje, żyjąc ze sobą szczęśliwie aż do śmierci.

Ale istniały też miliony ludzi, którzy wzięli seksualny pociąg i zauroczenie za prawdziwą miłość i przez całe życie tego żalowali. Arlene dobrze o tym wiedziała. Była owocem takiej pomyłki: dzieckiem pary, która znienawidziła się jeszcze przed jej urodzeniem.

„Poświęciłam się i zostałam z nim dla twojego dobra”, mówiła jej matka aż za często. „Gdybym nie zaszła w ciążę, odeszłabym od niego po pół roku od ślubu i oszczędziłabym sobie lat nieszczęścia”.

- Ale jeżeli jesteś pewna, że w twoim wypadku to niemożliwe - kontynuowała Gail - nie zastanawiaj się nad miłością, lecz żyj chwilą. Pozwól sobie na wakacyjny romans. Nie ma nic złego w odrobinie rozkoszy, pod warunkiem że zachowasz ostrożność.

Jednak Arlene nie była skłonna do romansowania, głównie zresztą dlatego, że dopóki nie poznała Domenica, nie spotkała mężczyzny, który by ją do tego zainspirował.

- W to też nie wierzę - powiedziała. - To za bardzo ryzykowne.

Gail przewróciła oczami.

- I tak mówi kobieta, która rzuca wszystko i przejmuje zniszczoną winnicę?

Gdy w piątek Arlene już miała wracać do hotelu, Domenico spytał ją, czy ma jakieś plany na weekend.

- Bo jeżeli chcesz, mogę cię zabrać do kilku winnic na wyspie. Nigdy nie zaszkodzi poznać zdanie innych ludzi. Im więcej zobaczysz, tym łatwiej ci będzie, gdy już zaczniesz pracować na swoim.

Wiedząc, że Gail umówiła się z przewodnikiem na nurkowanie, Arlene przyjęła zaproszenie, robiąc co w jej mocy, by nie pokazać po sobie ekscytacji.

- Dziękuję! Bardzo chętnie pojedę.

- Więc przyjadę po ciebie o dziesiątej i będziemy mieli wspaniały dzień.

Po powrocie do hotelu łamała sobie głowę, co włożyć na tę wycieczkę. Taką zwykłą bluzkę i spodnie, jakie nosiła codziennie? I ten niegustowny płócienny kapelusz od słońca, w którym wyglądała jak zwiędnięty chwast?

- W żadnym wypadku - zawyrokowała Gail. - Teraz już przyzwyczyłaś się do słońca, złapałaś ładną, złotą opaleniznę, gdy popołudniami bywałyśmy na plaży. Zamów sobie miejsce w hotelowym spa i zrób się na bóstwo: paznokcie, twarz, włosy. Zasłużyłaś sobie na to. Musisz wyglądać olśniewająco, żeby on zrozumiał, co traci.

Olśniewający wygląd nigdy nie był mocną stroną Arlene, ale lustro powiedziało jej, że Gail ma rację. Słońce nie tylko nadało piękny kolor jej twarzy, lecz także rozjaśniło pasemka w brązowych włosach.

Cztery godziny później wyszła ze spa tak wypielegnowana i niemal wypolerowana, że własna matka by jej nie poznała.

„Co za szkoda, Arlene, że jesteś taka zwyczajna, ale biorąc pod uwagę to, czym natura cię obdarzyła, musisz zadowolić się tym, co masz”.

Aż do dziś zgadzała się z tą opinią matki. Ale nigdy więcej. Paznokcie pomalowane subtelnym koralowym lakierem, cera zdrowa i gładka jak bursztyn, włosy elegancko ostrzyżone i rozświetlone złocistymi przeblaskami. Wyglądała zupełnie inaczej niż ta dziewczyna, którą matka określała jako „żałośnie bezbarwną”.

Odurzona tą przemianą, zatrzymała się jeszcze w hotelowym butikiu i kupiła sukienkę idealnie pasującą do nowego wyglądu. Długą, z obcisłą górą na cieniutkich ramiączkach, z jedwabiu w tym samym turkusowym kolorze co morze.

- Doskonale! - wykrzyknęła Gail. - Zwalisz go z nóg.

Arlene nerwowo zastanawiała się, jak postąpić potem.

Przyjechał punktualnie, nie dżipem, jak się spodziewała, lecz pięknym srebrzystym kabrioletem. Miał na sobie jasnoszare spodnie, niebieską koszulę rozpiętą pod szyją i czarne skórzane mokasyny, które nawet dla niedoświadczonego oka wyglądały na szyte ręcznie.

- Arlene, wyglądasz uroczo - powiedział, przesuwając po niej wzrokiem od stóp do głów. - Ale twoje włosy... - Wziął pasmo w rękę i pokręcił głową. - Tak nie może być.

Spojrzała na niego zbyt rozczarowana, by się obrazić.

- Nie podobają ci się?

- Są piękne, i nie chcę być odpowiedzialny za ich zniszczenie.

Bez słowa zniknął w hotelu. Wszedł do butikiu i po kilku minutach z niego wyszedł, niosąc długi, biały jedwabny szal.

- To od wiatru - wyjaśnił, zakładając go jej na głowę. Skrzyżował końce i przerzucił je do tyłu. - Teraz dobrze. Załóż jeszcze ciemne okulary i będziesz wyglądała jak ciesząca się międzynarodową sławą gwiazda opuszczająca swój jacht, by incognito spędzić dzień na wyspie, wożona przez szofera.

Oczywiście żartował. Nikt zdrowy na umyśle nie weźmie Domenica Silvaggia d'Avalos za kierowcę, a jeszcze mniej ją za słynną gwiazdę.

Pomógł jej wsiąść do samochodu i po chwili już jechali nadbrzeżną szosą do Sassari, gdzie zrobili pierwszy postój.

- W tej winnicy także uprawiają winogrona *vermentino*, tak jak my - powiedział, zatrzymując się przed wspaniałą budowlą. - Właścicielem jest Santo Perrottas. Chodziłem z nim do szkoły. Od dzieciństwa jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Gospodarz, miły, przystojny mężczyzna, chociaż nie miał takiej klasy jak Domenico, przyjął ich bardzo serdecznie. Gdy dowiedział się, dlaczego przyjechali, nalegał, by Arlene spróbowała jego wina, i to nie w sali degustacyjnej dla turystów, lecz w prywatnym ogrodzie, ocienionym przez zmieniające już kolor winogrona rozpięte na kratownicach.

- Słyszałem o winach z Kolumbii Brytyjskiej - powiedział, gdy sączyli aromatyczne *vermentino* w kolorze słomki. - Zdobywały medale podczas międzynarodowych konkursów.

- Obawiam się, że nie dotyczyło to winogron z mojej posiadłości - powiedziała Arlene z żalem. - Winnica, którą odziedziczyłam, była przez całe lata zaniedbywana.

- Więc przy Domenicu znalazłaś się w dobrych rękach. To prawdziwy ekspert jeśli chodzi o uprawę zdrowych winogron. A ty, mój przyjacielu - zwrócił się do Domenica - masz wiele szczęścia, że spotkałeś taką *bellezza*. Dlaczego nie stanęła na moim progu, zamiast na twoim?

- Bo jest tak samo mądra, jak piękna. A ty jesteś żonaty.

Arlene poczuła, że się czerwieni. Nie była przyzwyczajona do takich komplementów. Chociaż oczywiście nie mówili poważnie. Po prostu byli uprzejmi i czarujący, bo tego właśnie oczekiwano od mężczyzn w najwyższych sferach towarzyskich.

Z Sassari pojechali na południe, zatrzymując się po drodze w trzech winnicach, gdzie zostali przyjęci równie gorąco. Nalegano, by zostali na lunch, na kolację, na noc. Jednak Domenico nie przyjął żadnego zaproszenia, i Arlene była z

tego zadowolona. Największą przyjemność sprawiała jej jazda z nim i oglądanie wyspy, gdy pokazywał jej ruiny i zapierające dech w piersiach widoki.

Do Alghero dojechali, gdy zapadał już zmierzch, ale i tak miasto było piękne.

- To klejnot północno-zachodniej Sardynii, jeżeli nie całej wyspy - powiedział Domenico, gdy wspinali się po urwistych ulicach tego średniowiecznego miasteczka. - Gdybyś miała więcej czasu, chciałbym cię tu znowu przywieźć, żebyś mogła poleżeć na plaży i dokładniej zwiedzić miasto. Ale ponieważ tak nie będzie, chodźmy na kolację i cieszymy się tym dniem.

Gdybyś miała więcej czasu... To zdanie Domenico dziś często powtarzał. Różowe od kwarcu plaże, zaciszne zatoczki, lesiste wzgórza, gaje oliwne, spokojne drogi, prowadzące w głąb interioru. Mogłaby to wszystko z Domenikiem odkrywać, gdyby tylko miała więcej czasu.

Zamiast tego musiała się zadowolić tym wspaniałym dniem. Uśmiechami, jego ręką, która ją podtrzymywała na stromych uliczkach. Wiatrem unoszącym końce jej szala, gdy samochód pędził po pylistych drogach. Słońcem pieścącym jego podbródek i rzucającym cienie pod jego kości policzkowe. Zapachem mirtu i sosen uwodzącym zmysły.

To będą wspomnienia, które zabierze ze sobą do domu. To, i wiedza, którą się z nią podzielił. Czy on wie, jakie wrażenie na niej wywarł? - zastanawiała się. I że nigdy go nie zapomni?

Zauważyła, że na znakach drogowych napisy są po włosku i w jakimś innym języku, który przypominał hiszpański. Okazało się jednak, że to kataloński.

- Jesteś na dobrym tropie - powiedział Domenico, gdy usiedli w restauracji. Stolik przykryty był nieskazitelnie białym lnianym obrusem, ze świecami w kryształowych lichtarzach i kieliszkami do wina o nóżkach tak delikatnych jak lodygi kwiatu. - Alghero jest bardziej hiszpańskie niż wiele innych miejsc na Sardynii. Nawet nazywają je Barcelonetta, Mała Barcelona. Zresztą to nic dziwnego,

bo przez ponad trzysta lat, od połowy czternastego wieku, było pod władzą Aragonii.

- Gdy cię zobaczyłam po raz pierwszy, myślałam, że jesteś Hiszpanem. Tylko te niebieskie oczy...

- Wielu Hiszpanów i Włochów ma niebieskie oczy, więc znów dobrze odgadłaś. Moja rodzina przybyła tu z północnej Hiszpanii około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego. Wszyscy twierdzą, że jestem podobny do mojego prapradziadka.

- Musiał być bardzo przystojny.

- *Grazie*. A do kogo ty jesteś podobna, moja śliczna Arlene?

- Och, nie musisz tak mówić. - Zaczerwieniła się. - Wiem, że nie jestem ładna. Sięgnął przez stół i wziął jej rękę w swoje.

- *Cara*, przecież to nieprawda. Dlaczego odwracasz się od rzeczywistości i próbujesz ukryć swoją spokojną piękność przed światem? Wstydzisz się jej?

- Nie, wcale nie. Nie jestem nieśmiała, ale i nie poluję na komplementy. Po prostu nie mam takiej twarzy, która wywierałaby piorunujące wrażenie.

- A kto ci to powiedział? Mężczyzna? Jakiś brutal, który złamał ci serce i odebrał wiarę w siebie?

- Matka - wyznała cicho.

Domenico wykrzyknął coś w oburzeniu.

- Jaka matka mówi tak do swojego dziecka?

- To chyba dlatego, że jestem podobna do ojca.

- Więc twój ojciec też musiał być przystojnym mężczyzną. Na pewno o tym wiesz.

- Nie. Ledwo go znałam.

- Ach. Teraz sobie przypominam. Twój rodzice rozwiedli się, gdy byłaś małą, a ojciec zmarł wkrótce potem. Ale chyba masz jego zdjęcia?

Gorzko się roześmiała.



- Matka nigdy by nie pozwoliła, by jego zdjęcia były w domu.

Domenico uniósł ciemne okulary i przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- Równie dobrze mogłabyś być sierotą - zauważył w końcu.

I rzeczywiście, często się tak czuła, ale to Domenico pierwszy ubrał jej uczucia w słowa. Postanowił wrócić do swojej roli mentora.

- A więc powiedz mi, jak określiłabyś to wino.

- Bardo mi smakuje.

- Nie, nie Arlene. Spodziewam się po tobie czegoś innego. Powiedz, dlaczego ci smakuje.

- To *vermentino*.

- Przeczytałaś nalepkę. Powiedz coś więcej.

- Jest odświeżające.

- I? Jaką nutę wyczuwasz?

- Ma ładny bukiet?

Domenico roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

- *Dio!* Jako nauczyciel poniosłem całkowitą klęskę. Musisz wrócić na kolejny kurs.

Och, gdyby tylko mogła! Serce jej się do niego wyrывało. Z tęsknotą wpatrywała się w jego twarz, piękne usta, długie rzęsy, oczy, lśniące jak szafiry w świetle świec. Jak można wymagać od kobiety, by nie straciła głowy, mając przed sobą tak pięknego mężczyznę?

Gdy już zjedli, Domenico spytał Arlene, czy ma jeszcze miejsce na deser.

- Och, nie! - wykrzyknęła. - Najadłam się po uszy.

- Więc skończymy na czymś, czego jeszcze nie piłaś - oświadczył, wzywając kelnera. - Do tej pory poznałaś tylko zwykłe *vermentino*, młode, lekko gorzkawe wino, podawane zimne jak lód. Teraz musisz poprobować jego kuzynki, *liquorosa*, starszej, słodszej i nie tak zimnej.

- Chyba mam dość na jeden dzień - zaprotestowała.

Opróżnili już całą butelkę. Gdyby wypiała jeszcze więcej, albo by spadła pod stół, albo rzuciła się na niego.

- Arlene, Wyluzuj. Nie mam zamiaru cię upić, lecz tylko przedłużyć ten przyjemny wieczór.

- Myślałam, że masz już mnie dość.

- Wcale nie.

Tylko tyle. Spokojnie wypowiedziane dwa słowa. Ale upoiły ją bardziej niż alkohol. Krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach. Czepiając się umykającego zdrowego rozsądku, powiedziała:

- Wiesz o mnie wszystko...

- Nie wszystko - szepnął. - Najlepsze, jak przypuszczam, dopiero nadejdzie.

- Chodzi mi o to... że ja nie wiem nic o tobie. Więc teraz twoja kolej, żeby mi coś powiedzieć.

- Co chciałabyś wiedzieć?

- Chciałabym poznać twoje sekrety - odparła, starając się, by jej głos zabrzmiał żartobliwie i pokrył wewnętrzny chaos.

Powiedz, że oszukujesz przy płaceniu podatków, że siedziałeś w więzieniu, że jesteś kobieciarzem... Cokolwiek, żeby tylko wrócił mi zdrowy rozsądek.

Długo patrzył jej w oczy. Odstawił nietknięte wino. Wstał od stołu i władcym gestem wyciągnął do niej rękę.

- Po co mam opowiadać - wyszeptał - gdy czyny przemawiają głośniej niż słowa?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pojechali na bezludny kawałek wybrzeża.

- W tej chwili - powiedział, w końcu przerywając milczenie i kierując się na plażę - jedyne czego chcę, to trzymać cię w ramionach i całować. Tutaj, w tym spokojnym miejscu, gdzie świadkami będą tylko morze i niebo.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo uważam cię za najbardziej godną pożądaną spośród wszystkich kobiet, jakie znałem.

Przesunął ręką po jej gołym ramieniu i przyciągnął ją do siebie. Otoczyło ją ciepło jego ciała. Był taki wysoki. Osłaniał ją od bladego światła księżyca i od chłodnego powiewu znad morza. Silne, równe bicie jego serca dodawało jej odwagi. Była z nim bezpieczna. Nigdy nie pozwoli, by spotkała ją krzywda.

Stał blisko, czuła jego podniecenie. Patrzył na nią badawczo, jakby chciał przeniknąć aż do głębi jej duszy. Jego oddech owiewał jej twarz, kusił. Aż wreszcie, gdy potrafiła już tylko bezwolnie czekać, z przyprawiającą o agonię powolnością dotknął ustami jej warg.

W chwili, gdy to się stało, była zgubiona. Zgubiona w rzeczywistości, która przewyższała wszelkie fantazje. Rzucona w burzę uczuć, od których cała drżała. Pragnęła tylko błagać o więcej... o wszystko, co zechce jej dać.

„...nie ma nic złego w odrobinie rozkoszy, pod warunkiem że zachowasz ostrożność”, mówiła Gail.

Ale to nie był moment, w którym Arlene potrafiłaby zachować ostrożność. Znajdowała się we władaniu bezlitośnie trawiącego ją głodu. Jej usta zmiękły pod jego wargami, przywarła do niego, wsunęła mu palce we włosy. Cichutko jęknęła, zachęcając, by wziął ją całą.

Ale nie zrobił tego. Odsunął się.

- Robi się późno. Musimy wracać.

Zabolały ją te szorstkie słowa. Chyba nie myśli tak naprawdę? Nie teraz, gdy sekundy temu jego ciało opowiadało całkiem inną historię.

- Nie - szepnęła, przywierając do niego. - Nie boję się. Domenico, ufam ci. Nie musisz przestawać...

- Tak, Arlene - powiedział, nadal szorstko. - Muszę.

Poczuła rozpacz. Rozczarowała go. Była niezręczna, za bardzo chętna. Upokorzona, odwróciła się, żeby nie widział lśniących w jej oczach łez, i ruszyła do samochodu.

Szedł obok niej. Otworzył drzwi po stronie pasażera. Bez słowa znów zawiązał jej szal na głowie i usiadł za kierownicą.

Droga z Alghero do hotelu była długa i jednocześnie okrutnie krótka.

Gdy dojechali, otworzyła drzwi auta.

- Dziękuję ci za miły dzień - powiedziała przez ramię. - Dziękuję też za całą pomoc, jakiej mi udzieliłeś. Do widzenia.

Domenico przez całą drogę milczał, ale teraz się odezwał:

- Jutro...

Tylko dwie sylaby, a wystarczyły, by zastygła. Ale się nie obejrzała. Nie ośmieliła się na niego spojrzeć, a tym bardziej mieć nadziei.

- Co jutro?

- Weź sobie wolny dzień. Spędź go z przyjaciółką. Prawie się nie widywałyście przez cały czas.

Ogarnęła ją jeszcze bardziej gorzka fala rozczarowania. A ty widywałeś mnie aż za często, pomyślała, i nie chcesz już spędzić ze mną ani jednej minuty więcej!

- Przyjadę po ciebie... o ósmej. Zabiorę cię na kolację. To będzie coś zupełnie innego niż dzisiaj.

Długo po tym, jak odjechał, Arlene stała nieruchomo i zmuszała się do oddychania. Nie wiedziała, co miało znaczyć to tajemnicze „coś innego”, ale nie obchodziło jej to. Ważne było tylko to, że jednak nic się między nimi nie skończyło.

Domenico wpadł do domu, nalał sobie grappy i zaczął nerwowo przemierzać werandę, przeklinając się za głupotę. W chwili, gdy dotknął ustami warg Arlene, wiedział, że popełnia błąd i że jedyną słuszną rzeczą, jaką może zrobić, byłoby nigdy więcej już jej nie widzieć.

Powtarzał to sobie bez końca w drodze do jej hotelu. Jeszcze jako nastolatek nauczył się, że mądrzy mężczyźni unikają związków z kobietami, które nie znają reguł gry. A że Arlene nie miała o nich pojęcia, stało się jasne, gdy tylko zaczął ją całować.

Zaszokowała go namiętność, jaką w niej obudził tym jednym jedynym pocałunkiem. Mógł ją wtedy wziąć, tam, na publicznej plaży, a ona by nie odmówiła.

„Ufam ci... nie musisz przestawać”, wyszeptała głosem zduszonym od namiętności.

Pochlebiał sobie, że jednak potrafił przestać. Pożądał jej, naprawdę pożądał. Nawet teraz, na samo wspomnienie tego, jak trzymał ją w ramionach, miękką, uległą, słodką, rosło w nim bolesne podniecenie. Ale to słówko „ufam” obudziło głos sumienia, który już potem nie chciał ucichnąć.

Jak to się dzieje, pomyślał, że kobieta, zbliżająca się już do trzydziestki, zachowała taką wiarę w dobroć innych ludzi, skoro w dzieciństwie poznała jedynie odrzucenie?

I na tym polegał problem. Bo on nie chciał, nie mógł być tym, kto znów ją odrzuci. I chociaż bardzo tego pragnął i byłoby to bardzo przyjemne, nigdy nie będzie się z nią kochał, bo gdy nadejdzie koniec, jej czułe serce roztrzaska się na kawałki.

Arlene nie była taka jak wiele kobiet w naszych czasach. Dla niej intymność oznaczała miłość i małżeństwo, a on nie pisał się ani na jedno, ani na drugie. Wiedział, co jej powiedzieć. Przez całą drogę do hotelu ćwiczył sobie zdania, które wypowie: To była prawdziwa przyjemność, Arlene, ale nauczyłem cię wszystkiego, co mogłem, więc teraz korzystaj z wakacji. Żegnaj, i powodzenia.

Uprzejme, ale ostateczne, nie pozostawia miejsca na nieporozumienie.

Tyle że to okazało się niemożliwe. Uraczyła go tą swoją pożegnalną mówką doskonale opanowaną. Już myślał, że naprawdę jest jej obojętny, póki nie usłyszał, jak niepewnie brzmi jej głos i nie zobaczył, jak drży broda, i jak potem odchodzi, z plecami tak sztywno wyprostowanymi z cierpienia i godności, na którą mimo wszystko się zdobyła, że zaprzeczało to wszystkim jej intencjom.

Nagle, nie myśląc o konsekwencjach, wyrzucił z siebie zaproszenie. Zaproszenie, które obiecywało kłopoty, jakich wcale nie potrzebował.

Ale nie ma mowy o kolacji tylko we dwoje. Świece i wino to zbyt niebezpieczna kombinacja. Muzyka, światło gwiazd, sami w ciemnym samochodzie - wiadomo, jaki byłby rezultat. Nawet on nie jest z kamienia.

- Przywieziesz ją na kolację?

- Tutaj?

- Do nas?

Matka i siostry były nieprzytomne z ekscytacji.

- Nie róbcie sobie złudzeń - ostrzegł je ponuro. - Między nami nic nie ma. Po prostu zaczyna pracę w winnicy i im więcej dowie się od ludzi znających się na rzeczy, tym lepiej dla niej.

- Oczywiście - zapewniały go, ledwo ukrywając rozbawienie. - Po prostu chcesz jej pomóc. Nic więcej w tym nie ma.

Gdy po nią jechał, postanowił sobie, że udowodni im wszystkim, jak bardzo się mylą. Będzie dobrym gospodarzem, ale zachowa dystans.

Przyjechał kilka minut za wcześnie i czekał już w hotelowym foyer, gdy wysiadła z windy. Wczoraj była urocza w tej zielonej jak morze letniej sukience, dziś wyglądała jak uosobienie klasycznej elegancji. Zamiast nosić rozpuszczone włosy, uczesała jej w kok i umocowała na karku czarną aksamitną kokardą. Miała prostą czarną spódniczkę do ziemi, zwyczajną białą bluzkę z długimi rękawami, ozdobioną koronką, sandaalki na obcasach i perełki w uszach.

- Zapomniałam ci to oddać - powiedziała, podając mu szal, który jej kupił.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Wielki błąd. Lekki zapach jej perfum nasunął mu na myśl dzikie fiołki rosnące wiosną na wyspie, a miękkość jej skóry osłabiła jego stanowczą decyzję, by zachować dystans.

- Jest twój, Arlene, ale dziś nie będziesz go potrzebowała. Założyłem dach na samochodzie.

Leciutko zadrżała pod jego dotykiem.

- Gdzie jedziemy? - spytała, gdy odjeżdżał spod hotelu.

- Na kolację z moją rodziną.

- Z twoją rodziną?! - wykrzyknęła, wyraźnie zaskoczona.

- Tak. Poznałaś już mojego stryja i siostry. Dziś poznasz pozostałych. - To znaczy, rodziców, szwagrów, siostrzenice, siostrzeńców, psy, koty, i każdego, kogo zdołał przyciągnąć, by ich było jak najwięcej.

- Ach, tak. Dlaczego?

Nie przewidywał tego pytania, i teraz nie wiedział, jak odpowiedzieć, żeby ani nie sprawić fałszywego wrażenia, ani jej nie obrazić.

- Bo... bo wizyta w czyimś domu to najlepszy sposób na poznanie obcego kraju.

W świetle mijanej akurat latarni zobaczył, jak Arlene marszczy czoło.

- Chyba naprawdę chodzi o to, że poczułeś dla mnie litość, a ja nie potrzebuję litości.

*Dio!* Zapomniał, że jest nie tylko urocza, ale i mądra.



- Arlene, budzisz we mnie wiele uczuć, ale na pewno nie litość. Jeżeli odniosłaś takie wrażenie, to znaczy, że źle dobierałem słowa, więc pozwól, że ujmę to tak: chciałbym, żebyś spędziła wieczór z moją rodziną, bo wierzę, że będzie to dla ciebie przyjemne, a poza tym wiem, że oni chcą cię poznać.

- Dlaczego?

- Zdajesz sobie sprawę, jak często zadajesz to pytanie?

- Przepraszam, jeżeli to cię złości.

- Nie złości mnie.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Więc odpowiedz.

To tyle, jeśli chodzi o prowadzenie spraw lekko i przyjemnie. Narastało między nimi napięcie.

- Bo cię lubię - powiedział, i nagle naprawdę się rozzłościł. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby tak łatwo go wymanewrowywano. - Bardzo cię lubię. Podziwiam twoją inteligencję i determinację. Poznaliśmy się zaledwie kilka dni temu, ale łączą nas wspólne zainteresowania i stałaś się moją przyjaciółką. Tak po prostu jest. Nie mam innych motywów. My, Sardyńcy, jesteśmy gościnnymi ludźmi. Zapraszamy przyjaciół do domu. Tak trudno ci to zrozumieć?

- Nie - powiedziała łamiącym się głosem. - Chyba jestem przewrażliwiona. Przepraszam. Często tak reaguję, gdy tracę pewność siebie, a to, że przedstawił mi swoim krewnym, wydaje mi się trochę przerażające.

Jego złość opadła tak szybko, jak się pojawiła.

- Nie masz czego się bać. Na pewno znajdziesz drogę do ich serc.

Tak jak znalazłabyś drogę do mojego serca, gdybym ci na to pozwolił, dodał w myślach.

Gdy dojeżdżali do rezydencji, Arlene była kłębkim nerwów.

- To główny dom. Tu mieszkają moi rodzice - wyjaśnił, parkując przed willą, która stanowiła świadectwo zarówno bogactwa, jak i dobrego smaku. - Moje siostry

też mają tu domy. Mój już widziałaś. Wszyscy mieszkamy blisko siebie, ale w takiej odległości, by nie deptać sobie po piętach.

Żałowała, że sami nie znajdują się w sporej odległości stąd. Już sam dom ją onieśmielał, a gdy lokaj otworzył im drzwi i zobaczyła oczekujący ich tłum, przeraziła się jeszcze bardziej. Jej jedyną pociechą było to, że ubrała się odpowiednio. Kobiety miały długie letnie sukienki w kwiaty albo wieczorowe spodnie z lśniących materiałów, a mężczyźni byli w garniturach i krawatach.

Bała się też tego, że nie znajdzie z rodziną Domenica wspólnego języka. Szybko jednak okazało się, że wszyscy, nawet najmniejsze dzieci, lepiej czy gorzej mówią po angielsku. A nawet gdyby nie znali angielskiego, serdeczne uśmiechy i uściski dowodziły, jak cieszą się z jej wizyty.

Domenico przedstawił ją rodzicom. Ojciec, Federico Silvaggio d'Avalos, wysoki, szczupły mężczyzna, pocałował ją w rękę z taką galanterią, jakby miał do czynienia z osobą z rodziny królewskiej.

- *Signorina*, czujemy się zaszczytzeni, witając panią w naszym domu.

Matka, Carmela, już dobrze po pięćdziesiątce, ale nadal uderzająco piękna, ucałowała ją w policzki, wykrzyknęła, jak bardzo się cieszy z jej wizyty, i wprowadziła do wielkiego, eleganckiego salonu.

- Jesteśmy tacy szczęśliwi, że Domenico przywiózł tu panią. Proszę, niech pani usiądzie ze mną tu, przy ogniu, i pozna moją wielką, hałaśliwą rodzinę.

Przedstawiali się teraz jedno po drugim. Ciężarna siostra Domenica, która zachowała się tak miło tamtego dnia, gdy Arlene dostała migreny; jej mąż, Vittorio, kolejne siostry i ich mężowie.

- Ty nie jesteś mężatką, prawda, Arlene? - spytała jedna z nich.

- Nie.

- Co za zbieg okoliczności - stwierdziła z radosnym uśmiechem. - Domenico też nie jest żonaty.

Stary, posiwiały pies nieokreślonej rasy drzemał przy kominku, i nikt nie wyganiał go do kuchni. Dzieci hałasowały, biegały, ich rodzice nie kazali im się uspokoić ani iść się bawić w innym pokoju. Gdy hałas stawał się już zbyt wielki, dorośli po prostu zaczęli rozmawiać jeszcze głośniej.

Arlene nie tylko przestała się denerwować, lecz upajała się tą rodzinną sceną. Przyszła tu jako obca osoba, ale w jednej chwili wszyscy ją zaakceptowali. Zarzucali ją pytaniami o życie w Kanadzie i jej nową winnicę, pokazywali zdjęcia Domenica z dzieciństwa i wczesnej młodości, opowiadali zabawne historyjki.

Tak właśnie powinna wyglądać rodzina, pomyślała, z każdą minutą czując się coraz swobodniej.

Kolacja, wspianała uczta składająca się z tradycyjnych sardyńskich potraw, z winami z rodzinnych winnic, trwała dobre cztery godziny. Arlene nigdy w życiu nie mogłaby tyle zjeść, gdyby nie to, że wszystko toczyło się wolno, między daniami robiono długie przerwy. Miała czas na rozmowy i dyskretne przyjrzenie się otoczeniu.

- Macie piękny dom - powiedziała do matki Domenica.

- Dziękuję, *cara*. Jest za duży dla nas dwojga, ale dzieci nie zgadzają się, byśmy z ojcem przeprowadzili się do czegoś mniejszego. Twierdzą, że to jedyne miejsce, gdzie wszyscy mogą jednocześnie zasiąść przy stole. - Spojrzała na Renatę i drugą córkę, która też była w ciąży. - A skoro ciągle się pojawiają nowe wnuki, chyba mają rację. A ty, Arlene, masz rodzeństwo?

- Nie. Jestem jedynaczką.

Jedynaczka i samotna, przynajmniej do dzisiejszego wieczoru. Ale rodzina Domenica wciągnęła ją tak naturalnie do swojego serdecznego grona, że nie czuła się tu obco. Przynajmniej raz gdzieś należała, nawet jeżeli miało to trwać tylko kilka godzin.

W miarę jak płynął czas, tyle rzeczy ją wzruszało. Drobiazgi, których większość ludzi pewnie by nie zauważyła, ale dla niej, pozbawionej czulej rodziny,

miało to ogromne znaczenie. Na przykład mąż Laury, Edmondo. Zostawił własny posiłek i cierpliwie namawiał sześciolatniego Sebastiana, by zjadł kawałek jagnięciny.

„Arlene, nie mówiłam, że to ma ci smakować. Powiedziałam, żebyś to zjadła i będziesz tu siedziała, póki nie skończysz...”

Albo ojciec Domenica, który przez stół czule poklepał rękę żony. Dowód na to, że małżeństwo niekoniecznie musi oznaczać koniec miłości.

A najbardziej wzruszył ją Domenico, który wziął na kolana rozkapryszoną siostrzenicę i kołysał ją tak długo, aż usnęła. Widok był tak piękny, tak przepełniony uczuciem, że Arlene zakręciły się łzy w oczach.

Gdy wszyscy przeszli do salonu na kawę, pojawił się temat konwencji winiarskiej w Paryżu.

- To w przyszłym tygodniu? - upewniła się Renata.

- Tak - potwierdził stryj Bruno. - Trzy dni, od piątku.

Rozgorzała żywa rozmowa, dotycząca osób, które będą przemawiać, dostawców, win, piwnic...

- Domenico, w tym roku będziesz miał wykład, jak zwykle? - spytał jeden ze szwagrów, Ignazio.

Domenico lekko skinął głową, uważając, by nie obudzić siostrzenicy.

- Tylko raz, w piątek.

- Powinieneś zabrać ze sobą Arlene - zaproponowała Michele, najstarsza i najbardziej małomówna z sióstr. - Bardzo wiele by się nauczyła.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedziała szybko Arlene, nie czekając, aż Domenico odrzuci ten pomysł. Jeżeli podczas tego idealnego wieczoru coś ją mogło gnębić, to tylko fakt, że zachowywał wobec niej dystans, jakby chciał udowodnić i sobie, i rodzinie, że nie są parą. Nie ignorował jej całkowicie, chociaż wolałaby właśnie to. Ale patrzył na nią przenikliwie, jego wzrok był ostry jak skalpel chirurga. - W sobotę wracam do domu.

- Zresztą rejestracja już dobiegła końca - dodał Domenico.

- Nie dla ciebie - argumentowała Laura. - Ty mógłbyś przyjechać w ostatniej chwili z dwudziestoma dodatkowymi asystentami i znaleziono by dla nich miejsce. - Odwróciła się do Arlene. - Właśnie takie wpływy ma nasz brat w środowisku winiarzy. Dodaje wszystkim zgromadzeniom klasy.

Na szczęście rozmowa zesłała na przyjemności, jakie daje pobyt w Paryżu w październiku, i wkrótce potem wszyscy zaczęli się zbierać. Najpierw odjechali ci, którzy musieli położyć dzieci spać, a potem przyszła kolej Arlene.

- Przyjedź jeszcze nas odwiedzić przed wyjazdem - zapraszała serdecznie matka Domenica, całując ją w oba policzki.

- Koniecznie - dodał jego ojciec. - Nie czekaj na zaproszenie. Nasze drzwi zawsze są dla ciebie otwarte.

- Dziękuję - udało jej się powiedzieć.

Wiedziała, że nigdy tu nie wróci.

Domenico znów jej się przyglądał, zupełnie jakby czekał, aż zrobi jakiś fałszywy krok.

Dlaczego? Czyżby się wstydził, że przyszła tu w czarnej spódniczce i białej bluzce, a jako biżuterię założyła kolczyki z perłami, by choć trochę zamaskować swoją zwyczajność? Czy uznał, że nie jest dość dobra, by przebywać z jego rodziną? Nie dość wyrafinowana? A może chciał jej udowodnić, że nie pasuje do jego życia i nigdy nie będzie do niego pasować?

Był tylko jeden sposób, by się przekonać.

- Okej, Domenico - powiedziała, gdy już byli w drodze do hotelu. - Nie musisz dłużej udawać. Jesteśmy tu sami, więc wyrzuć to z siebie. Jaki był prawdziwy powód, dla którego zabrałeś mnie na spotkanie z twoją rodziną?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Zapomniałaś, że już na ten temat rozmawialiśmy?

- Więc przypomnij mi. Nie jestem pewna, czy dobrze zapamiętałam.

- Myślałem, że będzie to miłe dla wszystkich.

- Łącznie z tobą?

- Oczywiście.

- Wobec tego wyjaśnij mi, dlaczego spędziłeś cały wieczór, pozostając ode mnie tak daleko, jak to tylko było możliwe. Czyżbyś zmienił zdanie, gdy tylko przyjechaliśmy, i uznałeś, że jednak zapraszając mnie, popełniłeś błąd?

- Nie.

- Nie wierzę ci. Może się obawiałeś się, że wprawię cię w zakłopotanie albo, jeszcze gorzej, zrobię coś, czego sama będę się wstydziała?

Gniewnie wciągnął powietrze, gwałtownie zahamował i zjechał na pobocze. Chociaż był ekspertem w zachowywaniu pokerowej twarzy, tym razem nie potrafił ukryć szoku.

- Jak, do diabła, miałabyś mnie wprawić w zakłopotanie?

- Och, nie wiem. Może wkładając serwetkę za dekolt albo nie wiedząc, którego widelca użyć. Albo pijąc za dużo wina i zwalając się pod stół jeszcze przed głównym daniem?

Jej odpowiedź wstrząsnęła nim do głębi. Nigdy w życiu nie podniósł ręki na kobietę, ale teraz miał na to ochotę. Zamiast tego chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Oczywiście nie mocno, i raczej z frustracji niż ze złości. Mimo to jej piękne oczy zamgliły się od łez.

Domenico nie potrafił znaleźć słów na usprawiedliwienie swojego zachowania. Po prostu uległ instynktowi, który zwalczał od wielu dni. Chwycił Arlene w ramiona i zaczął całować.

W pierwszej chwili zeszywniała i opierała się. Rozpaczliwie pragnąc załagodzić cios, jaki zadał jej swoimi słowami, głaskał ją po policzkach, po szyi.

Łza uwolniła się. Spłynęła jak perła po jej twarzy. Chwycił ją językiem i, w końcu, znalazł właściwe słowa. Jedyne właściwe słowa.

- Nigdy nie mógłbym się ciebie wstydzić - szepnął w jej usta. - Jesteś czymś najwspanialszym, co mi się kiedykolwiek w życiu przydarzyło. Trzymałem się z daleka od ciebie, bo bałem się być za blisko.

- Dlaczego? - Raz jeszcze usłyszał jej ulubione pytanie, raczej wydyszane niż wypowiedziane.

Odpowiedział, pogłębiając pocałunek. I nie zamierzał na tym skończyć. W tej chwili nie potrafił już myśleć.

Arlene topniała w jego objęciach. Zapomniał o sztuce wyrafinowanego uwodzenia, w której zawsze był mistrzem.

Dobrze znał tutejszą okolicę. Wiedział, że pobliska ścieżka prowadzi do zacisznej polanki. Obejmując Arlene jedną ręką, drugą uruchomił samochód i pojechał w stronę gęstych zarośli.

Zamknęła się nad nimi spokojna noc. Jednak w środku, w samochodzie, atmosfera była przepelniona namiętnością.

Nagle rozległo się hukanie sowy. Ten dźwięk uratował go przed nim samym. Przywrócił mu rozsądek. Przerażony tym, jak bardzo stracił kontrolę nad sobą, wygładził ubranie Arlene, i odsunął się.

Przez te wszystkie lata, odkąd w wieku czternastu lat kochał się z kobietą dwa razy starszą od niego, nigdy nie zniżył się do tego, by zachowywać się jak casanova z tylnego siedzenia samochodu. A Arlene zasługiwała na coś lepszego. Zasługiwała na szacunek, i na bardzo szczerze przeprosiny.

- Przepraszam - powiedział. Potem, wiedząc, że jest jej winien o wiele więcej, dodał: - Nie za to, że nie potrafię ci się oprzeć, lecz za to, że zachowałem się tak prostacko, i za wszystkie inne błędy, jakie popełniłem, odkąd cię poznałem.



- Jakie błędy? - szepnęła.

- Pozwoliłem, by rządziła mną duma. Pierwszego dnia, gdy wspomniałaś, że nie jesteś tu sama, wywnioskowałem, że przyjechałaś z mężczyzną. - Roześmiał się ponuro. - Zżerała mnie zazdrość.

- Nigdy bym się nie domyśliła.

- Jestem dobry w ukrywaniu myśli i uczuć. Ale prawda jest taka, że chciałem cię ukarać, i ukarałem. Następnego dnia naraziłem na ryzyko twoje zdrowie, pozwalając, byś pracowała aż do kompletnego wyczerpania. To z mojej winy miałaś migrenę.

Znalazła w ciemności jego twarz i czule dotknęła policzka.

- Nie możesz brać tego na siebie. To ja powinnam mieć dosyć rozumu, żeby odejść, zanim poczułam się tak źle. To ja zdecydowałam, że nie odejdę i musiałam przecierpieć konsekwencje swojej decyzji.

- Ja lepiej znam nasz klimat i powinienem był się tobą zaopiekować.

- Przecież bardzo mi pomogłeś, byłeś dla mnie miły i wspiały.

Chwytał jej palce i pocałował je.

- Arlene, jestem dumnym, upartym mężczyzną. Z determinacją walczę o to, czego chcę. Nie oszukuj się, że jest inaczej.

Przesunęła palcami po jego piersi.

- Chcesz mnie?

- Tak.

- Więc mnie weź.

To była straszliwa pokusa. Przez chwilę milczał.

- Nie. Nie tu. Nie teraz.

- Więc gdzie?

Znów na chwilę zamilkł. Zastanawiał się. Mógł ją zabrać do siebie. Tam byliby całkowicie sami. W jego rodzinie panowała niepisana zasada, że bez



zaproszenia nie odwiedza się innych domów. Ale ktoś mógł ich zobaczyć w samochodzie, a on nie życzył sobie domysłów, jakie by to wzbudziło.

Mógł też zabrać ją do hotelu. Ale to za bardzo przypominałoby tandetne spotkanie na jedną noc, a on już dawno temu obiecał sobie, że nie zniży się do takich sposobów. Pozostawało więc tylko to, co chyba było najmądrzejsze, to znaczy nie zrobić nic. W ten sposób zresztą oszczędziliby sobie bólu zerwania, gdy nadejdzie moment jej powrotu do Kanady.

Zrób tak, nalegało jego sumienie. Łagodnie się z nią pożegnaj i odejdz, zanim złamiesz jej serce.

- Mogłabyś pojechać ze mną do Paryża - powiedział niespodziewanie nawet dla siebie.

- Nie stać mnie na to.

- Mnie stać.

Poczuł, że ona się odsuwa.

- Nie wezmę od ciebie pieniędzy.

- Nie musisz. Będę leciał prywatnym samolotem. A w hotelu mam swój apartament.

- A co z Gail? Nie mogę jej tak tu zostawić.

Usłyszał w jej głosie tęsknotę.

- Spotka się z tobą w niedzielę w Paryżu i stamtąd polecicie razem do domu.

- Mamy bilety na sobotę, przez Rzym, nie przez Paryż.

- *Cara*, bilety można zawsze zmienić - powiedział, wyprowadzając samochód na szosę. - Wszystko można załatwić, jeżeli się tego bardzo pragnie.

W świetle deski rozdzielczej widział jej zaciśnięte usta. Zawsze tak robiła, gdy głęboko się nad czymś zastanawiała.

- Tego nie jestem pewna - powiedziała w końcu. - Ale jestem pewna, że pragnę ciebie.

Arlene była całkowicie pewna, że dokładnie wie, czego chce i co dostanie: jeden cudowny weekend z Domenikiem, najbardziej ekscytującym mężczyzną, jakiego w życiu poznała. Bo on wprawdzie nie powiedział tego wyraźnie, ale nie była na tyle naiwna, by wierzyć, że obiecuje jej coś ponad to.

Ale gdy się dowiedział, że nigdy nie była w Paryżu, zmienił plany i zaproponował, by wylecieli z Sardynii już w środę. Mógłby jej wtedy pokazać miasto, zanim zacznie się konwencja. Była nieprzytomna ze szczęścia na myśl, że spędzi z nim cztery pełne dni i noce, a jeżeli nawet cichy wewnętrzny głosik ostrzegał ją, że może się to dla niej źle skończyć, nie słuchała go. W dniu, w którym odziedziczyła winnicę, zerwała z ostrożnością.

Arlene myślała, że zatrzymają się w skromnym hotelu i wystarczy jej pieniędzy na karcie, by opłacić pobyt.

Gdy kierowca, który na nich czekał na lotnisku, przywiózł ich na miejsce, zrozumiała, jak bardzo płonne były jej nadzieje. To był legendarny Ritz. Nawet ona wiedziała, że to jeden z najdroższych i najbardziej luksusowych hoteli na świecie.

Chwyła Domenica za ramię i zmusiła do zatrzymania się.

- Konwencja odbędzie się tutaj?

- Nigdy nie mieszkam tam, gdzie odbywa się konwencja - wyjaśnił jej. - Za tłoczno, za hałaśliwie, żadnej prywatności.

- Ale mnie nie stać na zamieszkanie tutaj!

- Mnie stać.

- Nie o to chodzi.

- Więc o co?

- Mam swoją dumę. Nie chcę, żebyś płacił za mój pobyt.

Domenico spojrzał wymownie na tłumy wypełniające foyer.

- Arlene, nie będziemy o tym rozmawiać tutaj. Zaczekaj, aż zostaniemy sami.

Sami zostali dopiero wtedy, gdy znaleźli się w apartamencie Domenica, ciągu pokoi z oknami wychodzącymi na plac Vendôme. Luksus tego apartamentu odebrał

jej głos. Eleganckie antyki, bezcenne dzieła sztuki, obrazy, perskie dywany. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak wykwintnego, a co dopiero mówić o mieszkaniu w takich wnętrzach! Oszołomiona, odwróciła się do Domenica.

- Co ja tu robię?

- To - powiedział i pocałował ją. Był to długi, cudowny pocałunek.

Próbowała nie stracić głowy, zachować się zgodnie ze swoimi zasadami. Ale chociaż Ritz był czymś wyjątkowym, nie umywał się nawet do Domenica, gdy ten roztoczył cały swój urok. Mogła bez żalu zrezygnować z bogactw i luksusu, ale nie mogła zrezygnować z niego.

Jednak próbowała.

Odsuwając się, szepnęła:

- To nie jest odpowiednie miejsce dla mnie.

- Więc idź - powiedział, mocniej ją przytulając, łapiąc ją, jak w pułapkę, w krąg swojej magnetycznej aury.

- Nie rozumiesz...

- Czego nie rozumiem, Arlene? - wyszeptał, przeciągając jej imię. Znow była oczarowana.

- Boję się. To nie jest mój świat. Nie wiem, gdzie to wszystko mnie doprowadzi.

- Więc bójmy się razem, bo ja też tego nie wiem.

Westchnęła bezradnie.

- Ty chyba nie wiesz, co to strach. Jesteś niezwyciężony.

Pokręcił głową.

- Jestem tylko człowiekiem, *tesoro* - powiedział spokojnie, gładząc ją po twarzy. - To, że przypadkiem mam pieniądze, nie czyni mnie ani lepszym, ani gorszym niż inni ludzie. Nie określa, kim jestem. Odejdź, jeśli musisz, ale tylko wtedy, jeżeli nie chcesz ze mną zostać, a nie z powodu mojego bogactwa i nie dlatego, że boisz się, iż próbuję cię kupić. Ten apartament jest zarezerwowany dla

mnie na stałe, a cena pozostaje taka sama, niezależnie od tego, ile osób tu się zatrzyma. I, jeżeli to w ogóle ma jakieś znaczenie, są tu dwie sypialnie. Ja będę spał w swojej, jeżeli mnie nie zaprosisz, bym do ciebie przyszedł.

Jak po tych słowach mogłaby odejść? Jak mogłaby się odwrócić od tych szczerych niebieskich oczu albo wątpić w jego uczciwość?

Czując, że ją przekonał, wziął ją za rękę i poprowadził do okna.

- Nie traćmy już więcej ani minuty na te nedorzeczne rozmowy. Patrz, słońce świeci, i Paryż na ciebie czeka. Chodźmy. Pokażę ci moje ulubione miasto.

Zaczęli od przejażdżki *bateau-mouche*. Przepływając obok Ile de la Cite, patrząc na katedrę Notre Dame, Arlene napawała się widokiem tych historycznych miejsc, przypominała sobie takie postacie, jak Maria Antonina czy Wiktor Hugo. Zafascynowana chłonęła widoki.

Wysiedli na Rive Gauche. Było chłodno i Domenico szybko ją zabrał do małego nadbrzeżnego bistra.

- No i jak ci się podobała przejażdżka? - spytał, gdy już siedzieli przy stoliku.

- Fantastyczna! Najbardziej oszałamiające doznanie, jakie miałam w życiu.

Gdybym już nawet nic więcej tu nie zwiedziła, wróciłabym do domu usatysfakcjonowana.

- Och, Arlene, to dopiero aperitif - obiecał. - Najlepsze jeszcze cię czeka.

Zamówili posiłek i wino.

- Co powiesz o tym winie? - spytał Domenico w pewnym momencie.

- Ładny bukiet - odparła żartobliwie, i w tym momencie zelżało napięcie między nimi.

Od tej chwili ten zwykły lunch w bezpretensjonalnym bistro zaznaczył punkt zwrotny w ich stosunkach. Śmiali się i żartowali z taką łatwością, jakby znali się od miesięcy, a nie tylko kilka dni.

Oczywiście seksualne napięcie pozostało. Ale po raz pierwszy odkąd się poznali, Arlene uspokoiła się na tyle, by przestać się martwić o to, co on może o niej myśleć, i po prostu dobrze się bawiła.

Domenico wyczuł tę zmianę.

- Nadal czujesz się taka przytłoczona? - spytał. - Nie masz już wątpliwości ani obaw, że wzięłaś na siebie więcej, niż potrafisz znieść?

- Żadnych.

- Cieszę się. Chciałbym częściej widzieć, jak się uśmiechasz, słyszeć twój śmiech, tak jak teraz, jakby nie było innego miejsca, w którym wolałabyś być, niż tu, ze mną.

- Bo nie ma takiego miejsca - przyznała. - Nie znamy się długo, ale stałeś się dla mnie... ważny.

Ważny? Co za niedopowiedzenie. Domenico wypełnił całe jej serce, stał się najistotniejszą rzeczą w jej życiu.

- Nie ma znaczenia, jak długo się znamy - szepnął, pożerając ją wzrokiem. - Najważniejsze jest to, by nie zadowalać się zwyczajnością, lecz mieć dość odwagi, aby rozpoznać i chwycić to, co nadzwyczajne, gdy się pojawi, i mimo ryzyka, jakie może pociągać. Znowu się uśmiechasz. Dlaczego?

- Bo uderzyłeś w moją czułą strunę swoją uwagą o zadowalaniu się zwyczajnością. I chyba do tej pory tak właśnie postępowałam.

- Jak to?

Zawahała się. Mówienie o przeszłości nie przychodziło jej łatwo. Ale on uścisnął jej rękę i poprosił:

- Arlene, powiedz mi. Zrozumiem.

- Dobrze. - Szybko, zanim straci odwagę, wyrzuciła z siebie: - Jak wiesz, moi rodzice rozwiedli się, i właściwie nie widywałam się z ojcem.

- Tak. I umarł, gdy jeszcze byłaś mała. Mówiłaś mi o tym. Wydaje się, że twoja mama nie była w stanie wypełnić pustki po nim.

- Nie to, że nie była w stanie. Jej na tym po prostu nie zależało. Walczyła o opiekę nade mną tylko dlatego, że ojciec chciał, bym była z nim. Wyszła po raz drugi za mąż, gdy miałam jedenaście lat. Następne siedem lat przeżyłam, usiłując udowodnić, że zasługuję na jej miłość, ale ona tylko mnie tolerowała. Gdy z najwyższymi stopniami skończyłam szkołę średnią, poinformowała mnie, że powinnam zamieszkać samodzielnie, i wyrzuciła mnie z domu. Chciałam zostać prawniczką, ale nie dałabym rady jednocześnie pracować i studiować prawo. Tak więc poszłam pracować jako sekretarka w kancelarii prawniczej.

Przerwała nagle. Nie powie mu, że w zimie skończy trzydzieści lat, że tak bardzo chciałaby mieć dzieci, ale jest sama, bo nigdy nie poznała mężczyzny, którego mogłaby pokochać całym sercem. Domenico nie wyglądał na człowieka, który łatwo wpada w panikę, ale gdyby wylała przed nim te wszystkie sprawy, pewnie czym prędzej by od niej uciekł.

- Jaką kobietą jest twoja matka - skomentował, gdy zamilkła - jeżeli wyrzeka się własnego dziecka?

- Pogodziłam się z tym już dawno temu. Nie zmienię jej. Jedyne, nad czym mogę mieć kontrolę, to moje własne życie.

- Rzeczywiście. To wszystko, co możemy zrobić.

- Tak, ale uświadomiłam to sobie dopiero w chwili, gdy odziedziczyłam winnicę. Nowe życie, wyzwania, ryzyko, jakie podejmuję, pozwoliły mi się otrząsnąć z wygodnego kokonu, w którym się dusiłam, sama o tym nie wiedząc. Teraz chcę żyć, a nie tylko istnieć. Chcę poznać dreszcz, jaki daje spełnienie pragnień, nawet jeżeli na tej drodze od czasu do czasu będę musiała się cofnąć i zacząć od nowa. Nie liczę na to, że zawsze dostanę to co najlepsze albo będę najlepsza, bo tak się w życiu nie zdarza. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, by znów nie popaść w marazm.

- I uda ci się. - Domenico mocniej uściskał jej rękę. - Dziękuję, że mi zaufałaś i podzieliłaś się ze mną tymi bolesnymi wspomnieniami. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego stałaś się taką kobietą, jaką jesteś.

Roześmiała się niepewnie.

- Och. A ja myślałam, że mężczyźni wolą tajemnicze kobiety.

- Może troszkę, ale zaostrzyłaś mój apetyt. Bardzo chcę dowiedzieć się o tobie jeszcze więcej.

- Dobrze, ale nie teraz - powiedziała lekkim tonem. - Teraz czeka na nas Paryż.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zwiedzali miasto do wieczora. Arlene była zmęczona, ale nie chciała się do tego przyznać.

- Jasne, że nie było to dla mnie za dużo. Za nic w świecie bym się tego nie wyrzekła.

Zaimponowała mu jej siła i wytrwałość. I będzie ich potrzebować. Nie odziedziczyła rajskiego ogrodu, lecz zniszczoną winnicę, która mogła doprowadzić ją do ruiny. Przed tym nie mógł jej ochronić, ale mógł się postarać, by Paryż okazał się dla niej takim rajem, na jaki tylko jego pieniądze i wiedza pozwolą.

Potrzebowała wspomnień, które ją podtrzymają na duchu, gdy wejdzie w ten niewdzięczny i wymagający biznes, jakim jest winiarstwo. Jednak w tej chwili wyraźnie osłabła.

- Nie udało mi się zarezerwować stolika na kolację przed dziewiątą - oznajmił. Skłamał. Niezależnie od godziny, w Clarice, eleganckiej małej restauracji, w której często bywał, zawsze znalazłoby się dla niego miejsce. - Mamy prawie trzy godziny, więc proponuję, żebyś trochę odpoczęła.

- Chyba tak zrobię. Ale najpierw się wymoczę w gorącej wodzie.

- Doskonały pomysł - przyznał, twardo starając się nie wyobrazić sobie jej nagiej w wannie.

Zaczekał, aż zamknie się w swoim pokoju, a potem załatwił telefony, sygnalizowane przez światełka na automatycznej sekretarce. W sumie dziesięć, odpowiedział na wszystkie prócz jednego. To, że Ortensia Costanza też przyjechała do Paryża na konwencję, nie zdziwiło go, ale nie zamierzał pozwolić, by zajmowała mu czas.



Potem zamówił na później do pokoju posiłek, a od razu butelkę kruga. Licząc na to, że Arlene jeszcze siedzi w wannie, wziął szampan i dwa kieliszki i wszedł do jej sypialni.

- Arlene, wyglądasz przyzwoicie? - zawołał, pukając do drzwi łazienki.

Pisnęła ze zdziwienia.

- Oczywiście, że nie. Jestem w wannie!

- Na pewno skryta pod warstwą bąbelków?

- No... tak.

- To dobrze. - Nie czekając na pozwolenie, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Widać było tylko głowę Arlene ponad białą pianą. Zgasił światło nad toaletką i teraz łazienkę oświetlały jedynie migające płomienie zapachowych świec o aromacie lawendy.

Arlene przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

- Co ty właściwie robisz?

- To taki zwyczaj w Ritzu: wypoczywając w wannie, cieszyć się smakiem szampana - oświadczył.

Nalał wino i podał jej kieliszek.

Jedno szczupłe ramię wychynęło z piany, skromny kawałek ciała, ale wystarczający, by pomyślał, że może przecenił swoją siłę woli. Odchrząknął i cofnął się. Wolał zachować bezpieczną odległość.

- *Salute*, czy też, skoro jesteśmy we Francji, *à la vôtre!*

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknęła, patrząc na niego nieufnie.

- Więc po prostu ciesz się tym wszystkim, *cara*. I przestań patrzeć na mnie z takim strachem. Przysięgam, że nie wlałem do szampana żadnego afrodyzjaku. Nie stracisz opanowania i nie rzucisz się na mnie.

Nie spuszczać z niego wzroku, wypła łyk.

- W ten sposób traktujesz wszystkie kobiety, jakie tu przyjmujesz? Przyłapując je, gdy wyglądają niekorzystnie, i pojąc je alkoholem?

- Jedyne kobiety, jakie tu przyjmuję, to moje siostry. I chociaż je uwielbiam, częstowanie ich szampanem w kąpielni nie wchodzi w zakres braterskich obowiązków. One mają mężów, którzy mogą się tym zająć. Jednak ty masz tylko mnie.

- Tak to właśnie widzisz? Jako obowiązek?

- Bardzo dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Nie ukrywałem, że jesteś dla mnie bardzo atrakcyjna i jak bardzo cię pragnę.

Zażenowana całą sytuacją, woląla zmienić temat.

- To miejsce, gdzie idziemy na kolację... Mam się ubrać wieczorowo?

- Nie do końca, ale tak, ubierz się elegancko. Czy to dla ciebie kłopot?

- Nie. Po prostu nie chcę, żebyś przeze mnie czuł się zażenowany.

- Arlene, zrób sobie przysługę i zapomnij wszystko, co mówiła ci matka - powiedział, czując nagły przyływ złości na tę kobietę, która tak zrujnowała wiarę w siebie swojej jedynej córki.

Roześmiała się.

- Co za niezwykła rada. Chyba ani ty sam, ani twoje siostry nie zastosowałibyście się do niej.

- Moje siostry i ja mieliśmy to szczęście, że nasza matka bierze sobie do serca nasze dobro. Ale rozumiem, że nie można tego samego powiedzieć o twojej matce. Może była zazdrosna?

- Och, nie! Matka jest bardzo szykowna. A ja ją bardzo rozczarowałam.

- Dlaczego?

- Bo jestem taka... zwyczajna.

- Ja w żadnym wypadku bym się z nią nie zgodził. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak mówisz swojemu dziecku, że jest zwyczajne, nawet gdyby tak naprawdę było?

- Nigdy! - Spojrzała na niego pałającymi oczami i gwałtownie usiadła. - Gdybym miała córkę... och, gdybym miała córkę! Każdego dnia mówiłabym jej,

jaka jest piękna, albo jaki jest piękny, gdyby to był syn. I to byłaby prawda, bo w moich oczach moje dziecko byłoby najpiękniejsze na świecie!

- Bardzo chcesz mieć dzieci - zauważył, poruszony jej słowami.

- Tak - szepnęła.

- Więc dlaczego nie masz?

- Po pierwsze, trzeba też mieć męża. Znając twoje poglądy na małżeństwo i rodzinę, dziwię się, że w ogóle zapytałeś.

- I nigdy nie spotkałaś mężczyzny, za którego chciałabyś wyjść?

- Zadajesz za dużo pytań, a woda zaczyna stygnąć.

A on zdał sobie sprawę, że wszedł na niebezpieczny teren. Małżeństwo i dzieci to były tematy, których unikał w rozmowach z kobietami, żeby przypadkiem nie wyciągnęły niewłaściwych wniosków. Patrząc na zegarek, powiedział gładko:

- I tak musisz się już szykować. Za trzy kwadransy powinniśmy wyjść.

Westchnęła z ulgą, gdy zamknęły się za nim drzwi.

Nie była dziewicą. Przestraszona, że może ją ominąć coś wyjątkowego, uległa błaganiom mężczyzny, z którym spotykała się, gdy miała dwadzieścia dwa lata. Zrobili to w jego mieszkaniu, w jego łóżku. Wypowiadał wszystkie właściwe słowa i był bardzo dumny ze swojego wyczynu. Ale po fakcie żałowała, że nie została u siebie, z dobrą książką. Jedyne, co mogła powiedzieć o wydarzeniu to to, że odbyło się szybko. Wtedy uznała, że seks jest przereklamowany, i od tamtej pory nikt nie potrafił spowodować, by zmieniła zdanie. Aż do chwili, gdy poznała Domenica.

A więc zacznij zachowywać się uczciwie i wobec niego, i wobec siebie - zwróciła się do swojego odbicia w lustrze. Jeżeli naprawdę go pragniesz, przestań się wahać i zrób pierwszy krok, zanim będzie za późno.

I z tym postanowieniem zaczęła się ubierać. Wybrała dżersejową sukienkę w kolorze bladofioletowym, długą, lecz o prostym kroju, która chociaż nie była ostentacyjna, jednak przylegała do ciała we wszystkich właściwych miejscach.

Purpurowy szal z delikatnego kaszmiru pożyczony od Gail, srebrne pantofelki i długie kryształowe kolczyki dopełniały stroju.

To, że wybrała dobrze, okazało się natychmiast, gdy tylko dołączyła do Domenica w salonie.

- Każdy mężczyzna, który mnie dziś z tobą zobaczy, zzielenieje z zazdrości - powiedział zduszonym głosem.

Dochodziła już północ, gdy wrócili z restauracji do hotelu. Podczas ich nieobecności zmieniono kwiaty w wazonach i postawiono na srebrnej tacy piękne kieliszki i butelkę koniaku.

- Kieliszek na dobranoc? - zaproponował Domenico.

Kusiło ją, by się zgodzić, choćby tylko po to, by móc jeszcze chwilę zwlekać, zanim okaże mu, jak bardzo go pragnie.

- Dziękuję, ale nie. Już dosyć wypiliśmy jak na jeden dzień.

- Miło spędziłaś wieczór?

I oto dawał jej możliwość zrobienia tak, jak postanowiła wcześniej. To był odpowiedni moment, by wziąć go za rękę, spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć coś w rodzaju: Było wspaniale, ale wieczór jeszcze się nie skończył.

- Bardzo miło - powiedziała i uśmiechnęła się.

- Jesteś zmęczona.

- Tak, to był długi dzień. - Aż trudno jej było uwierzyć, że rano obudziła się na Sardynii. Od tamtej chwili przeżyła setki cudownych chwil, i setki razy umierała ze strachu, że nie okaże się odpowiednią towarzyszką podróży i zawiedzie Domenica.

- Powinnaś już iść spać - powiedział.

- Tak. - Jednak nadal się wahała, zbierając odwagę.

Chciała powiedzieć po prostu: Proszę, kochaj się ze mną.

Domenico podszedł i pocałował ją. W policzek.

- Więc dobranoc. Śpij dobrze.

- Dziękuję - wyszeptała i uciekła do siebie.

Tchórz! - wymyślała sobie, idąc do łazienki.

Idiotka! - Niemal słyszała głos Gail: „Chwytaj chwilę. Jeszcze nie jest za późno”.

Ale na twarzy miała rozmazany łzami tusz, tak starannie upięty kok rozpadał się. Jako *femme fatale* pozostawiała wiele do życzenia. Lepiej iść spać. Może jutro przyniesie jakąś decyzję.

Nagle się zawahała. Spojrzała na drzwi dzielące ją od Domenica. Jeżeli teraz tam wejdzie i pozwoli, by jej ubranie na noc mówiło samo za siebie, czy on zrozumie...? Czy ucieszy się na jej widok? Czy też zanadto już wystawiła na próbę jego cierpliwość?

„Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć!” - usłyszała głos Gail.

Ostrożnie nacisnęła klamkę, uchyliła drzwi i...

W świetle małej lampki zobaczyła, że salon jest pusty, a drzwi do sypialni Domenica zamknięte.

Ulga walczyła w niej z rozczarowaniem. Jeszcze raz los oszczędził jej podejmowania decyzji. Tyle że Domenico był jak magnes, przyciągał ją, a ona nic nie mogła na to poradzić. Bezszelestnie przeszła gołymi stopami po perskim dywanie. Pod dotykiem ręki drzwi sypialni się otworzyły.

Przez otwarte okno przenikał blask księżyca, oświetlał szerokie łóżko i okrytego kołdrą Domenica, nieświadomego, że ona tu jest.

Podeszła, gotowa uciec, gdyby się poruszył.

Ale nie poruszył się, oddychał równo. Jego włosy, czarne jak atrament, opadały na czoło. Długie rzęsy rzucały cienie na policzki. W świetle księżyca widziała muskularne, idealnie rzeźbione ramiona.

Dotknęła go. Nie mogła się powstrzymać. Leciutko położyła rękę na jego piersi, ciepłej, żywej.

I obudziła go.

- *Ciao* - powiedział.

A więc kości zostały rzucone. Nie było ucieczki z powrotem do jej pokoju, nie mogła udawać, że weszła tu przez przypadek.

- Nie chciałam cię obudzić - szepnęła i już cofała rękę.

Chwycił ją za nadgarstek i mocno przytrzymał.

- Nie spałem. Daleko mi do tego. - I jakby chcąc to udowodnić, przesunął jej rękę w dół, po piersi, płaskim brzuchu i niżej. - Myślałem o tobie i zastanawiałem się, jak długo będę musiał czekać...

Jak ona, tak niedoświadczona w sztuce miłości, ma stanąć na wysokości zadania?

- Arlene? - Jego głos brzmiał jak pieszczota. Ar-lay-na...

- Nie wiem, co mam robić - powiedziała bez tchu. - Tak bardzo chciałabym cię zadowolić, ale nie wiem jak.

- Ogromnie mnie zadowalałaś samą swoją obecnością. A jeśli chodzi o to, co robić dalej, dlaczego nie zaczniemy od tego?

Pociągnął ją na łóżko, dotykał leciutko, wytyczając ścieżkę od ramienia do szyi, do ucha, do ust. Ogarnęła ją fala rozkoszy. Zaczął ją całować, powoli, leniwie, po twarzy, powiekach, nosie. Gdy dotarł do ust, już cała drżała.

Minęło wiele czasu, zanim Domenico się poruszył. Arlene nie przejmowała się tym. Mogłaby tak pozostać całą noc, czując na sobie ciężar jego ciała, jego ciepło, bicie serca, oddech muskający jej wilgotną od potu skórę. To było wszystko, czego potrzebowała do szczęścia.

Ale nie on. Gdy w końcu przeciągnął się, zapalił lampkę przy łóżku i spojrzał na nią badawczo, naciągnęła na siebie kołdrę.

- Co? - spytała. - Mam wracać do siebie?

Czule pogłaskał ją po twarzy.

- Dlaczego miałabyś wracać, *cara*, skoro zostało jeszcze tyle godzin nocy, a w moim łóżku jest dużo miejsca?

- Boję się, że cię rozczarowałam.
- Rozczarowałaś? - Powiedział to tak, jakby poczuł jakiś nieprzyjemny smak.
- Pewnie pomyślałeś, że nie jestem w tym dobra.
- Może potrzebujesz więcej praktyki. Chodź do mnie, moja kochana.
- Zgaś światło - poprosiła.
- Nie. Gdy następnym razem będziesz miała orgazm, chcę cię widzieć.

I widział, jak ona drży z rozkoszy. A ona, patrząc na niego, poczuła, że zatapia się w namiętności. Domenico nie tylko ją oczarował. On ukradł jej serce na zawsze. Zakochała się w nim rozpaczliwie, nieodwołalnie.

Ta myśl przeszła ją jak strzała.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Sprawilem ci ból, *tesoro mio*?

- Nie - zdołała wyszeptać.

Ale wiedziała, że może się tak stać, jeżeli nie powstrzyma swojej wyobraźni. Nie może się w nim zakochać. Dla niej oznaczało to zobowiązanie, małżeństwo, dzieci. A on, już kilka godzin po tym, jak się poznali, jasno powiedział, co o tym wszystkim myśli: „...zanim włożę komuś obrączkę na palec, będę musiał być pewny, że to właściwa kobieta”.

- Ma pan listę wymagań, które musi spełniać?

- Oczywiście - odpowiedział, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. - Szczęście, seksualne dobranie i fizyczny pociąg są mniej ważne niż to, by kobieta spełniała odpowiednie warunki.

I na tym polegał problem. Zwyczajna Arlene Russell nie jest odpowiednim materiałem na żonę dla mężczyzny takiego jak on. Ona, zarówno pod względem społecznym, jak i finansowym, plasuje się o wiele niżej. Nie może się łudzić, że to nieprawda. Jedyne, co by osiągnęła, to złamane serce.

Z drugiej strony, co było tak nadzwyczajnego w emocjonalnej pustce, w jakiej tyle czasu żyła? W życiu bez ryzyka, bez przygód, w nudzie? Nic.

Bo inaczej dlaczego porzuciłaby swoje bezpieczne, nudne życie w Toronto i zaryzykowała wszystko, żeby zacząć od nowa, w nowym miejscu?

Wycofać się teraz ze strachu przed niebiańską namiętnością, jaka łączy ją z Domenikiem, byłoby zbrodnią. Przynajmniej w tej jednej sprawie wyniósł ją ze stanu zwyczajności na wyżyny.

- Arlene? Co się stało? O czym myślisz?

- O tym, że zawdzięczam ci więcej, niż kiedykolwiek będę mogła odpłacić. Aż do dziś nie wiedziałam, że kochanie się może być tak nadzwyczajne.



- Co chcesz przez to powiedzieć? Że przyszedłeś do mnie jako dziewczyna?  
- Nie. Ale czy miałoby to dla ciebie jakieś znaczenie?  
- Tylko o tyle, że powinienem opanować własne pragnienia i mieć więcej  
względów dla twoich potrzeb. Pierwszy raz powinienem być dla kobiety pamiętny z  
powodu czułości... - Na jego twarzy pojawił się wyraz zdegustowania. - A ja byłem  
za bardzo zajęty własną przyjemnością, by właściwie zająć się tobą.

Dotknęła jego twarzy.

- Nie mów tak. Żadna kobieta nie mogłaby sobie życzyć lepszego kochanka.  
Nie mam wystarczającego doświadczenia, jak zapewne się przekonałeś, ale wiem,  
że coś jest cudowne, gdy to widzę.

Pocałował ją w rękę.

- Chciałbym być tym pierwszym.

- No więc w pewien sposób byłeś - wyznała, będąc tak bardzo pod jego  
urokiem, że nie potrafiła niczego przed nim zataić. - Nigdy jeszcze nie miałam  
orgazmu, i jestem szczęśliwa, że stało się to właśnie z tobą. Dzięki tobie jestem  
teraz w pełni kobietą. Dałeś mi wiarę w siebie. Jestem ci wdzięczna za tyle rzeczy,  
nie tylko za to, czego mnie nauczyłeś o winiarstwie, czy za to, że mnie tu  
przywiozłeś i pokazałeś to piękne miasto, lecz za wszystko, czego nauczyłeś mnie o  
mnie samej.

- To ja jestem ci winien wdzięczność, moja śliczna Arlene. Chciałbym,  
żebyśmy mieli czas na to, by lepiej się poznać. Moglibyśmy odkryć...

- Ciii. - Zamknęła mu usta palcami, wiedząc, że obietnice składane w gorączce  
na ogół nie są dotrzymywane w chłodzie dnia. - Ja też bym tego chciała, ale sprawy  
mają się właśnie tak. Nie chcę myśleć o przyszłości. Chcę rozkoszować się każdą  
sekundą, jaką mamy teraz, tak by pamiętać tylko to, jak nam było dobrze.

- Zrobię wszystko, żeby było dobrze - oświadczył, głaszcząc ją po plecach. -  
Żeby było idealnie.

Obudziła się o świcie. Domenico leżał na swojej połowie łóżka, a ona - samotna - na swojej. Ranek często bywa zdradziecką porą i jej pierwszą myślą było, żeby uciec do własnej łazienki i poprawić urodę, zanim Domenico się obudzi. Ale nie mogła się na to zdobyć. Została i przypatrywała mu się. Chciała zapamiętać, jak on wygląda, gdy śpi, gdy twarz ma ocienioną zarostem, a włosy opadają w potarganych pasmach na czoło.

Gdy tak mu się przyglądała, nagle otworzył oczy.

- *Ciao* - powiedział, uśmiechając się sennie. - Dzień dobry, *cara mia*.

- Och! - Zaczerwieniła się. - Nie chciałam, żebyś zobaczył mnie, gdy wyglądam tak jak teraz.

- To znaczy jak?

Spróbowała doprowadzić ręką włosy do porządku. Na próżno. Nie chciały się ułożyć.

- Potargana i nieumyta.

Przesunął ręką po jej plecach.

- Ale i tak mi się podobasz.

A ty podobasz się mnie, pomyślała. O wiele bardziej, niż to wskazane i dla ciebie, i dla mnie.

- Mam dwie bardzo dobre wiadomości. Po pierwsze, zabieram cię na śniadanie. Po drugie, mamy godzinę, zanim będziemy musieli wyjść. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Jak twoim zdaniem powinniśmy spędzić ten czas?

Było oczywiste, co Domenico ma na myśli.

Sądziła, że na śniadanie pójdą do pobliskiego bistra. Tymczasem okazało się, że lecą balonem do *château* gdzieś na wsi. Kierowca zawiózł ich na pole startowe i zanim zdążyła złapać oddech, albo chociaż zastanowić się, czy jest gotowa na takie doświadczenie, została zapakowana do gondoli i już unosili się nad ziemią.

- To pani pierwszy lot? - spytał pilot, śmiejąc się, gdy zacisnęła palce na balustradzie.

I być może ostatni, pomyślała. Jak taki wiklinowy kosz i wypełniony gorącym gazem balon może być bezpieczny?

Ale gdy spokojnie lecieli nad skąpaną w słońcu ziemią, szybko przestała się bać. Domenico stał obok niej, obejmował ją w pasie i czuła się bezpiecznie.

Przez godzinę żeglowali nad wioskami, drogami i leniwie meandrującymi rzekami. W końcu znaleźli się nad pałacykiem o klasycznej architekturze, jego oświetlone słońcem kamienne ściany odbijały się w wodach jeziora.

Gdy wylądowali, ktoś z załogi podał Domenicowi butelkę szampana i kryształowe kieliszki.

- Istnieje taki zwyczaj - wytłumaczył - że na koniec lotu wznosi się toast.

Arlene nie potrzebowała szampana. Upajało ją piękno sceny, jaka rozciągała się przed jej oczami. Ponadczasowy i pełen godności *château* wznosił się ku bładoniebieskiemu jesiennemu niebu, słońce rzucało ostre cienie na trawnik. Wokół panowała cisza, przerywana tylko śpiewem ptaków.

Domenico objął ją.

- I jak ci się tu podoba?

- To najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałam. Spróbuję się na tym wzorować, gdy będę remontowała mój dom w winnicy. - Pocałowała go w policzek.  
- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś, i za wszystkie cudowne wspomnienia, jakie mi dałeś.

Już otwierał usta, by coś odpowiedzieć, ale nagle się rozmyślił. Wziął ją pod rękę.

- Wejdźmy do środka. Pewnie umierasz z głodu.

W drzwiach czekał na nich kamerdyner. Wysoki, szczupły, o srebrzystych włosach, był tak samo elegancki jak cała budowla.

Wprowadził ich do uroczego pokoju, z oknami wychodzącymi na jezioro, umeblowanego antykami. Na ścianach wisiały obrazy godne muzeum. W

ogromnym kominku palił się ogień, a obok stał stolik nakryty dla dwóch osób.

Arlene pomyślała, że Domenico przywiózł ją do jakiegoś ekskluzywnego hotelu.

- Co to za miejsce? - spytała, gdy kamerdyner wyszedł.

- Wiejski dom.

- Czyj?

- Mój.

Popatrzyła na niego zaszokowana. Roześmiał się.

- Czemu się tak dziwisz, *cara*?

- No, bo przecież mieszkasz na Sardynii.

- Przez większość czasu, owszem. Ale gdy pragnę samotności, czasami przyjeżdżam tutaj.

- A kto opiekuje się tym pałacykiem, gdy ciebie tu nie ma?

- Emile, którego właśnie widziałas, i jego żona, Christianne. I ich trzech synowie. Zarządzają posiadłością i w miarę potrzeby zatrudniają dodatkowych ludzi z wioski.

- Myślałam, że jesteś bardzo przywiązany do swojej rodziny.

- Bo jestem. Ale, jak już ci mówiłem, mam swoje azyle, oni też mają swoje.

Azyle, pomyślała. Jest ich więcej?

- *Cara*, wydajesz się zaskoczona. Nie podoba ci się taki sposób życia?

- Nie chodzi o to, że mi się nie podoba. Po prostu nie spodziewałam się czegoś takiego. Znam ludzi, którzy mają wiejskie domy, ale to przeważnie jest naprawdę mały domek, a nie rezydencja, gdzie mógłby zamieszkać król Francji.

- Przypuszczam, że ten pałacyk kiedyś należał do rodziny królewskiej - stwierdził Domenico obojętnie, jakby posiadanie pałacu było czymś zwyczajnym. - Ale to, co teraz widzisz, zostało zbudowane w połowie dziewiętnastego wieku.

- W jaki sposób stałeś się właścicielem tej posiadłości?

- Usłyszałem, że została wystawiona na sprzedaż. - Wzruszył ramionami. - Naszła mnie taka fantazja, więc kupiłem.

Wszedł kamerdyner. Potem już rozmawiali o konwencji winiarskiej.

- Będzie przeładowana różnymi zajęciami i bardzo męcząca - powiedział Domenico. - Niestety, nie będę mógł pozostać z tobą przez cały czas, bo już wiele tygodni temu umówiłem się na spotkania, ale zapoznam cię z ludźmi, z którymi warto porozmawiać. Będziemy się spotykać podczas posiłków.

- Nie przejmuj się mną. Dam sobie radę. Przecież nie spodziewałam się, że będziesz mnie cały czas trzymał za rączkę.

- Nawet gdybym tego chciał? - spytał z olśniewającym uśmiechem.

Proszę, nie zachowuj się tak uroczo, chciała mu powiedzieć. Nie mogę się w tobie zakochać jeszcze bardziej.

Gdy skończyli jeść, Domenico oprowadził Arlene po domu: zobaczyła salę balową, eleganckie pokoje, apartamenty na piętrze.

Wstąpili jeszcze do kuchni, by podziękować Emile'owi i Christianne za gościnę, a potem wyszli na dwór. Arlene podziwiała pięknie utrzymane ogrody, dziedziniec i ogród różany.

Na koniec zaszli do cieplarni. I tam dowiedziała się o Domenicu czegoś, czego się po nim nie spodziewała. W drugim końcu pracował jakiś mężczyzna. Małym pędzelkiem mył liście drzewka cytrynowego. Gdy się zbliżyli, odwrócił się, i Arlene spostrzegła, że to człowiek z zespołem Downa.

Na widok Domenica rozpląnął się w szczęśliwym uśmiechu, a z jego ust popłynął strumień słów. Domenico wyjaśnił, że to Jean, najstarszy syn Emile'a i Christianne, a potem już całą uwagę poświęcił jemu. Spędzili w cieplarni pół godziny. Jean zasypywał Arlene informacjami o roślinach, podarował jej słodko pachnący pączek cytryny. Dopiero nadejście kamerdynera, który zawiadomił, że kierowca już czeka, położyło kres tej wizycie.

- Dziękuję, że byłaś taka cierpliwa z Jeanem - powiedział Domenico, gdy już wracali do Paryża.

- Jak mogłabym nie być? - powiedziała Arlene. - To taki radosny, uprzejmy człowiek.

- Nie każdy tak postrzega jego i jego brata.

- Jego brat też ma zespół Downa?

- Tak. Emile i Christianne rozpaczliwie pragnęli dziecka, ale nie mogli mieć własnego, więc zdecydowali się na adopcję. Gdy się dowiedzieli, jak trudno starsze dzieci, a zwłaszcza te chore, znajdują rodziny adopcyjne, uznali, że Bóg chce, by dali swoją miłość właśnie takiemu dziecku. Potem adoptowali jeszcze Leona, też z zespołem Downa.

- A jak to się stało, że w końcu znaleźli się u ciebie? Już mieszkali, gdy kupiłeś tę posiadłość?

- Nie. Usłyszałem o nich od klienta. Ludzie z ich wioski nie tolerowali tych dzieci i zdarzyło się sporo nieprzyjemnych incydentów. Potrzebowali miejsca, gdzie nikt by się z nich nie wyśmiewał. Ja miałem dla nich takie miejsce, a poza tym potrzebowałem personelu.

- To piękna historia - zauważyła Arlene ze wzruszeniem. - A ty jesteś nadzwyczajnym człowiekiem.

- Przecież nic takiego nie zrobiłem. Jaką korzyść miałbym z pieniędzy, gdyby nie można ich było wydać na dobrą sprawę i podać rękę potrzebującemu?

- Nie każdy bogaty człowiek tak myśli.

- Więc powiedziałbym, że jest bankrutem w tym co najważniejsze.

Po powrocie do Paryża spędzili kilka godzin w Luwrze, a potem spacerowali malowniczymi uliczkami Montmartru. Do Ritza wrócili koło szóstej.

Domenico uznał, że po tak wyczerpującym, chociaż wspaniałym dniu, nie pójdą nigdzie na kolację, lecz zjedzą w apartamencie.

- Nie zamówiłem nic specjalnego - powiedział, gdy Arlene szła do łazienki. - A ty nie ubieraj się. Po prostu zostań w szlafroku. Będzie ci wygodniej.

- Dobrze, jeżeli i ty włożysz szlafrok.

Dla Arlene „nic specjalnego” to był hamburger albo pizza. Ale powinna była wiedzieć, że Domenico czymś takim się nie zadowoli. Gdy wróciła do salonu, stał tam przykryty lnianym obrusem stolik, z kwiatami, zapalonymi świecami i elegancką hotelową porcelaną. Pod srebrnymi pokrywami czekały już dania, wino chłodziło się w srebrnym wiaderku.

- Przyjemnie spędziłaś dzień? - spytał Domenico, gdy już usiedli przy stole.

- Och, bardzo! Ale uświadomiłam sobie, że ty wiesz o mnie wszystko, a ja o tobie prawie nic.

- W moim życiu nie ma żadnych tajemnic - odpowiedział. - Urodziłem się w domu, w którym jadłaś kolację z moją rodziną, popadałem w normalne chłopięce kłopoty, w końcu dorosłem, pojechałem na studia do Stanów, a potem wróciłem i przejąłem rodzinne interesy, bo ojciec zachorował na serce, co zmusiło go do wcześniejszego przejścia na emeryturę. To mniej więcej wszystko.

- Nie sądzę. Jesteś o wiele bardziej skomplikowany, niż udajesz. Po prostu nie chcesz o sobie mówić.

- Po co miałbym mówić, kiedy mogę się z tobą kochać? - szepnął jej do ucha.

I rozkosz, jaką zawsze potrafił w niej wzbudzić, sprawiła, że Arlene zapomniała o innych sprawach. Nic więcej nie potrzebowała.

A przynajmniej w tamtej chwili tak właśnie jej się wydawało.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Z początku wszystko szło dobrze. W piątek obudziła się wcześniej i z radością powitała nowy dzień. Nie zastanawiała się nad tym, że w niedzielę się pożegnają, bo może jednak tak się nie stanie. Może to, co ich łączy, jest za silne, by mogło tak po prostu się skończyć.

Jednak gdy jechali na konwencję, pewność siebie ją opuściła. A gdy zobaczyła kłębiący się tłum, poczuła się jeszcze gorzej. Wprawdzie Domenico powiedział jej, że oficjalnym językiem konwencji jest angielski, słyszała jednak rozmowy w tak wielu językach, że niektórych nawet nie rozpoznawała. Nie należała do tego bogatego, kosmopolitycznego zgromadzenia.

Domenico wziął ją pod rękę i przeprowadził przez tłum, który rozstępował się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

- Zaczekaj tu - powiedział, ustawiając ją przy stoliku zarzuconym broszurami.  
- Zaraz wracam. - I zniknął.

Nie było go co najmniej kwadrans. Przez ten czas udawała, że z zainteresowaniem czyta broszurki.

- Przepraszam - mruknął, gdy w końcu się pojawił. - Ciągle wpadałem na kogoś znajomego. Proszę. Tu masz swój komplet rejestracyjny. - Podał jej teczkę, przy której jej notatnik wyglądał żałośnie tandetnie. Zajrzała do teczki. Znalazła tam program konwencji, długopisy, markery, papier, minizszywacze, kalkulator. - Po śniadaniu zaznaczę ci najbardziej użyteczne dla ciebie sesje. Masz tu także plan budynku, więc łatwo znajdziesz odpowiednie sale. Gdy zjemy, razem pójdziemy wysłuchać powitalnej mowy, a potem zostaniesz sama aż do lunchu. Spotkamy się tu w południe, ale gdyby cię coś zatrzymało albo nie mogłabyś mnie znaleźć, tu masz numer mojej komórki. - Podał jej wizytówkę.



Uniesieni przez ludzką masę, znaleźli się w sali z bufetem. Domenico ostrzegął ją, że to będzie męczący dzień. Ale było jeszcze gorzej. Szybko zaczęło jej się wydawać, że znalazła się w prawdziwym domu wariatów.

Jednak jakoś przeżyła poranek, a nawet udało jej się zdobyć kilka przydatnych informacji, i w końcu zaraziła się entuzjazmem otaczających ją ludzi. Słyszac ich, mogła odnieść wrażenie, że winiarstwo to najwspanialsze zajęcie na świecie, a gdy dochodziła pora lunchu, i ona w to uwierzyła.

Domenico już na nią czekał w umówionym miejscu. Niestety nie był sam. Towarzyszyła mu kobieta.

- Dałaś sobie radę - powitał Arlene, a twarz mu się rozjaśniła w uśmiechu. - Jak było?

- Nieprawdopodobnie. Jestem naprawdę zachwycona.

- Właśnie to chciałem usłyszeć. - Wziął ją pod rękę i dyskretnie uściśnął, przedstawiając swoją towarzyszkę. - Arlene, to Ortensia Costanza, jedna z moich sąsiadek na Sardynii. Ona i jej rodzina są właścicielami winnic na zachodnim wybrzeżu wyspy.

- Sąsiadka i przyjaciółka - uściśliła kobieta. Lustrowała garsonkę w kolorze żurawin, jaką miała na sobie Arlene, tak jakby rozpoznała w niej swój stary ciuch, który oddała na dobroczynność. - Bardzo bliska przyjaciółka - zaznaczyła. - Domenico, idziemy na lunch? Raffaello zajął dla nas stolik.

- Oczywiście.

Zręcznie wmanewrował Arlene do wielkiej sali jadalnej, przedstawił ją siedmiu osobom siedzącym przy stole, a potem zajął miejsce obok niej. Olśniewająca Ortensia nie była z tego zadowolona. Siadając na ostatnim wolnym miejscu, zauważyła:

- Nie pamiętam, bym panią wcześniej widziała, *signorina*.

- Jestem nowa w tym biznesie.

- Ach, tak? - Pozwoliła sobie na złośliwy uśmiezek. - A Domenico wziął panią pod swoje skrzydła, prawda?

- Tak.

- I co właściwie najbardziej panią interesuje?

To samo co ciebie, pomyślała Arlene.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała. - Dopiero zaczynam.

Pozostałe osoby zasypały ją pytaniami, ale rozmowa wkrótce potoczyła się na inne tematy.

- Domenico, wygłaszasz dziś wykład? - spytała jedna z kobiet, a gdy skinął głową, zwróciła się do Arlene. - Nie możesz tego opuścić, moja droga. Domenico sam jeden jest wart tych pieniędzy, jakie z nas ściągają na wpisowe. Od niego w dwie godziny nauczysz się więcej niż od kogoś innego przez cały dzień.

- Nie słuchaj jej! - zawołał Domenico ze śmiechem. - Płacę jej za te pochwały. Lepiej trzymaj się swojego początkowego planu.

- Oczywiście - prychnęła Ortensia. - Im bardziej podstawowe wiadomości, tym lepiej dla kogoś takiego jak ty. Wykład Domenica byłby dla ciebie za trudny.

Sala, gdzie Domenico miał wygłosić swój wykład, była przepelniona. Arlene usiadła z tyłu. Czuła się tu komfortowo niewidoczna. Domenico jej nie zauważył, ale ona natychmiast wiedziała, że wszedł na salę. W momencie, gdy przeszedł przez próg, podniósł się gwar podnieconych głosów. W sali pełnej odnoszących sukcesy przedsiębiorców, z których co najmniej połowa była multimilionerami, Domenico i tak bardzo się wyróżniał. Nie można go było przeoczyć ani zapomnieć.

Arlene nie wszystko rozumiała z jego wykładu, ale nie przejmowała się tym. Wystarczyło jej, że może na niego patrzeć, słuchać głosu o pięknym brzmieniu, marzyć o nocy, jaką mają przed sobą, gdy będą sami, tylko we dwoje.

Ale, jak się okazało, najpierw trzeba było jeszcze przebrnąć przez wieczór.

- Jesteśmy zaproszeni na kolację - powiedział Domenico, gdy wracali do Ritza. - *Cara*, wiem, że jesteś wykończona. Jeżeli wolisz, pójdę sam...

- Nie - odparła szybko. - Chcę być z tobą.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- A ja z tobą. Niestety, mam zobowiązania.

- Doskonale to rozumiem.

- Dochodzi szósta, a musimy wyjść o ósmej. Masz czas na małą drzemkę.

Arlene nie zamierzała marnować cennego czasu na spanie. Potem, gdy wyjedzie z Paryża, będzie mogła się wysypiać do woli. Teraz musi jej wystarczyć ciepła kąpiel.

Jednak gdy znalazła się w swoim pokoju, zmieniła zdanie. Bolały ją nogi, była bardzo zmęczona. A łóżko zapraszało. Pół godzinki odpoczynku wydało jej się nagle doskonałym pomysłem.

Musiała mocno zasnąć, bo następną rzeczą, jaka dotarła do jej świadomości, był głos Domenica.

- Obudź się, moja słodka.

Ciemność rozjaśniało tylko światło lampy przenikające przez drzwi z salonu.

- Już mam się szykować?

- Tego nie powiedziałem - wyszeptał z ustami przy jej ustach.

Nie było nic lepszego niż kochanie się, by zneutralizować przykrość, jaką jej sprawiła obecność Ortensii wśród gości w prywatnym klubie, gdzie odbywało się przyjęcie.

Arlene po prostu płynęła na fali euforii. Jej czarna wieczorowa suknia z ak-samitu była idealna na tę okazję, wystarczająco wyrafinowana, by nie potrzebowała żadnych innych ozdób prócz kryształowych kolczyków Gail.

Rozmowy, co było naturalne, toczyły się przeważnie wokół spraw winiarstwa, ale w większości byli tu ludzie kulturalni, światowi, którzy nie zapominali o tym, że wśród nich jest nowicjuszka.

Zachęcona przez nich, Arlene opowiedziała, jak weszła w posiadanie swojej winnicy. Prócz Ortensii, która wyglądała na śmiertelnie znudzoną tym tematem, wszyscy inni wprost zasypywali ją pytaniami i radami.

- Zyskała pani bardzo cenną rzecz - powiedział pewien Amerykanin w średnim wieku. - Winnice Kolumbii Brytyjskiej zaczynają zdobywać sławę. My, w Napa Valley, trochę spoczęliśmy na laurach.

- Jimmy ma rację - potwierdziła jego żona.

- Wszyscy, którzy jesteśmy w tym biznesie, tylko marzymy o zdobyciu tam kawałka ziemi. Jest pani szczęściarą.

- I do tego uroczą szczęściarą - dodał jej mąż.

- Arlene, z radością panią poznałem. Domenico, gdzie znalazłeś tę kobietę?

- To ona mnie znalazła - oznajmił Domenico, posyłając Arlene uśmiech, od którego zrobiło jej się ciepło.

Ortensia, która do tej pory milczała, nagle odezwała się cierpko:

- Zawsze miałeś talent do znajdowania się w odpowiednim miejscu w odpowiedniej chwili, gdy jakaś biedna duszyczka potrzebowała twojej pomocy.

Przy stoliku zapadła niezręczna cisza, ale zaraz przerwał ją Domenico.

- A tobie, moja droga Ortensio - powiedział z niesmakiem - nigdy nie udało się nauczyć, kiedy powinnaś zachować swoje opinie dla siebie.

Potem zwrócił się do wszystkich przy stole z przepaszającym uśmiechem i podziękował za miły wieczór. Biorąc z niego przykład, inni też zaczęli się zbierać.

- To było przykre, przepraszam - powiedział do Arlene, pomagając jej włożyć płaszcz. - Ortensia jest rozpieszczoną, pobłażającą sobie kobietą, przyzwyczajoną do tego, że znajduje się w centrum uwagi. I nie bierz tego do siebie. Byłaby tak samo niemila wobec każdej kobiety.

Ale według Arlene, Domenico się mylił. Ortensię zżerała zazdrość, bo chciała go dla siebie.

Była trzecia w nocy. Arlene, zmęczona tak szalonym dniem, mocno spała. Natomiast Domenico przemierzał salon, rozbudzony i zirytowany. Ludzie na konwencji przeważnie byli jego dobrymi znajomymi i z radością się z nimi raz na rok spotykał. Jednak tym razem dni, jakie mógł spędzić z Arlene, nieubłaganie upływały, i gniewało go, że musi stracić tyle cennych godzin.

Do niedawna myślał, że gdy ich wspólny czas dobiegnie końca, po prostu się pożegna i odejdzie, nie oglądając się za siebie. Przypadek zdarzył, że na skutek niespodziewanego legatu Arlene została rzucona w całkiem obcą sobie sferę działania, i także przez zwykły przypadek stanęła na jego progu. Ale to nie znaczyło, że jest za nią odpowiedzialny, powtarzał sobie co chwila. Podzielił się z nią swoim doświadczeniem, nauczył wielu rzeczy. Reszta zależy od niej. Albo uda jej się odbudować plantację, albo nie.

A może był naiwny, myśląc, że może bawić się ogniem i się nie poparzyć? Gdy się poznali, nie zamierzał nawiązywać z nią trwałego związku. Był pewny, że ten wzajemny pociąg to tylko coś przelotnego. Przyjemne, oczywiście, tak jak tyle innych przedtem, ale nie potrwa długo.

Czuł się bezpiecznie, bo był ekspertem w kończeniu takich romansów.

Więc kiedy wszystko zaczęło się zmieniać? Gdy po raz pierwszy ją pocałował? Gdy niemal ją uwiódł na przednim siedzeniu samochodu? A może od razu tego pierwszego dnia, gdy zżerała go zazdrość, bo myślał, że przyjechała na Sycylię z mężczyzną?

Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wiedział tylko, że tak się stało. Myśl o Arlene nie opuszczała go ani w dzień, ani w nocy. Martwił się o nią. Miała przed sobą co najmniej cztery lata ciężkiej harówki, zanim zacznie osiągać zyski z winnicy.

Pamiętał też, jak traktowała ją ta jej potworna matka i przepelniało go przemożne pragnienie, by dopilnować, żeby nikt już jej tak nie zranił. Chciał ją chronić. Być częścią jej życia, silnym ramieniem, na którym mogłaby się w razie

potrzeby oprzeć. A to wszystko prowadziło do jedyne­go możliwego wniosku: zakochał się w niej.

*Dio*, gdzie podziła się jego legendarna umiejętność chłodnego dystansowania się, gdy najbardziej jej potrzebował?

- Domenico? - Jej senny głos dobiegł do niego od progu. - Co się stało?

- Nic. Po prostu nie mogłem zasnąć.

Włożyła koszulę, którą nosił podczas kolacji, sięgała jej do kolan. Twarz miała zaróżowioną od snu, włosy opadały w błyszczących pasmach, wyglądała uroczo.

- Wracaj do łóżka - powiedział gwałtownie.

Musiał przemyśleć różne sprawy, a byłoby to niemożliwe, gdyby Arlene wpływała na jego uczucia.

- Nie pójdę bez ciebie - odparła. - Tęskniłam za tobą.

- Arlene, proszę! - Zdesperowany narastającym po­żądaniem, chwycił ją za rękę i odepchnął. - Idź.

Pokręciła głową.

- Nie odejdę, póki mi nie powiesz, co naprawdę cię niepokoi.

- Ortensia - odparł, chwytając się pierwszej wymówki, która przysłała mu do głowy. - Jestem na nią wściekły. Swoim grubiaństwem psuje opinię o Sardynii. Nie wiadomo, co jeszcze by powiedziała, gdyby przyjęcie się nie skończyło.

I nie do końca kłamał. Miał ochotę udusić tę kobietę za to, że uczyniła z Arlene cel swojej frustracji i złości. Wiedział, że ma na niego zakusy, i starał się ją zniechęcić tak dyplomatycznie, jak tylko potrafił. Jego błąd. Już dawno powinien był wyraźnie jej powiedzieć, że nie ma szans. Może wtedy nie doszłoby do dzisiejszego incydentu.

- Ortensia nic mnie nie obchodzi - powiedziała miękko Arlene. Rozwiązała pasek jego szlafroka i pocałowała go w pierś. - Ty mnie obchodzisz. Domenico, wracaj do łóżka. Pokażę ci, jak bardzo mnie obchodzisz.

Znów go oczarowała. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, dał się poprowadzić do sypialni.

W sobotę nie poszli na konwencję. Spali do późna, zamówili śniadanie do łóżka, a potem, ciągle sobą nienasyчени, kochali się w łóżku i w marmurowej wannie.

W końcu się ubrali i poszli na ostatni spacer po Paryżu. Dla nich nie będzie żadnego jutra. Wczesnym rankiem w niedzielę Arlene spotka się z Gail i polecą do Toronto.

Gdy już zapadł zmierzch, wspięli się na wzgórze Sacré Coeur i usiedli na stopniach bazyliki, zajadając kanapki z szynką. Powietrze było rześkie, ale Arlene nie czuła zimna. Od wewnątrz grzał ją ciepły uśmiech Domenica, jego dotyk, głos.

Wracając powoli do Dzielnicy Łacińskiej, oglądali wystawy na Montmartrze. Gdy Arlene podziwiała jeden z obrazów bez ramek, ukazującym miasto o zmierzchu, Domenico go kupił. Potem zobaczył ilustrowany album o historii Paryża, pełen zdjęć miejsc, w których byli razem. Też go dla niej kupił.

- Już tyle dla mnie zrobiłeś - protestowała, nie chcąc przyjąć prezentów.

- Nikt nie powinien wyjeżdżać z Paryża bez przynajmniej dwóch pamiątek - powiedział.

Ponieważ Domenico miał dostać nagrodę, musieli pójść na wieczorny bankiet w hotelu George V. Arlene nawet się z tego cieszyła. Nie chciała być z nim sama w ten ostatni wieczór. Zbyt łatwo byłoby wtedy poddać się rozpacz i zepsuć ich ostatnią wspólną noc. Lepiej być wśród tłumu. Tańczyć z Domenikiem i wpleść jeszcze kilka złotych pasm w magiczną tkaninę, którą razem tkali.

Cieszyła się, że uległa kapryswi i kupiła drogą wieczorową sukienkę, której zapewne nigdy więcej nie włoży. Gdy zobaczyła zachwyty Domenica, pomyślała, że jest warta każdego euro, jakie za nią zapłaciła.

- Jesteś piękna! - wykrzyknął.



- I ty też - odparła, wygładzając mu kłapy smokingu. - Jestem najszcześniejszą kobietą na świecie, bo mogę spędzić z tobą ten wieczór.

Był idealnym towarzyszem, najbardziej seksownym, przystojnym mężczyzną na świecie, i należał do niej - aż do chwili, gdy poszła do toalety. Zastała tam pół tuzina kobiet, wśród nich była też Ortensia.

- ...prostaczka bez grosza - usłyszała jej syk.

- Dojrzała do oskubania - dodała inna.

I sześć par przestraszonych oczu popatrzyło na wchodzącą Arlene.

- Przeszkadzam wam? - spytała niepewnie. Głupie pytanie, bo oczywiście przeszkadzała.

Ale pięć kobiet natychmiast zaprzeczyło. Zaczęły udawać, że poprawiają perfekcyjnie uczesane włosy i równie perfekcyjny makijaż.

- Nie, oczywiście, że nie. Właśnie rozmawialiśmy o...

- Tegorocznych zbiorach.

Ale nie o tym rozmawiały. „Dojrzała do oskubania”. Właśnie to Arlene usłyszała, a sądząc po ich nagłym zdenerwowaniu, musiały mówić o niej. Tyle że ona przecież nie miała nic, z czego ktoś chciałby ją oskubać.

- Dobrze się bawisz? - spytała najstarsza z nich. - Domenico troskliwie się tobą opiekuje, prawda?

Arlene uśmiechnęła się.

- O tak. Jest naprawdę cudowny.

Ortensia wystąpiła do przodu. Dziś była dziesięć centymetrów wyższa dzięki obcasom. Z jej uszu zwisały brylanty wielkości kostek cukru.

- I nie masz pewnie pojęcia, dlaczego, prawda, ty mała biedna *micina*\*?

- Ortensia, proszę cię! - zawołała jedna z kobiet. Ortensia pokręciła głową.

- Powinna wiedzieć.

\* *Micina* (wł.) - koteczka (przyp. tłum.).



Nie przydawaj znaczenia jej słowom, prosząc o wyjaśnienie, nakazała sobie Arlene i natychmiast spytała:

- O czym ty właściwie mówisz? Twoim zdaniem on tylko udaje, że lubi być ze mną?

- Och, na pewno jest mu przyjemnie. Bardzo przyjemnie, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, udowadnia sobie, że jest dobrym człowiekiem, bo znów uratował zagubioną duszę.

- Ortensia, milcz! - przerwała jej ostro ta sama starsza kobieta. - Posuwasz się za daleko, a ja nie mam zamiaru stać tu i patrzeć, jak niszczysz następną bezbronną kobietę, której jedynym grzechem jest to, że stanęła między tobą a mężczyzną, którego bezskutecznie od lat usiłujesz złapać.

- Więc wyjdź. Ja zamierzam wyjaśnić temu biednemu stworzeniu, co naprawdę jest grane. Ty - kontynuowała, kierując nieprzyjazne spojrzenie na Arlene - wierzysz, że on obsypuje cię względami, bo uważa, że jesteś fascynująca. Ale prawda jest taka, że w rzeczywistości nie istniejesz dla niego, ani jako człowiek, ani jako kobieta.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - szepnęła Arlene.

- *Dio*, czy ty jesteś ślepa? Nie widzisz, że jesteś dla Domenica następną zbłąkaną owieczką, którą wziął pod opiekę, tak samo jak te chore dzieci ze slumsów Paryża, które spędzają każde lato w jego *château*, albo sieroty z Boliwii, Afryki czy Rumunii, którymi się opiekuje?

- Nie wierzę ci - powiedziała oszołomiona Arlene.

Ortensia parsknęła i wyciągnęła ręce do kobiet, które zastygły w milczeniu.

- Wyjaśnijcie jej to! Powiedzcie, że nie jest pierwsza i nie będzie ostatnia! Że w pewnych kręgach Domenico jest znany jako Pan Humanitarny, bo jest taki szczodry wobec odrzuconych tego świata.

Arlene odwróciła się do kobiet i zobaczyła, że unikają spojrzenia jej w oczy.

- To prawda - przyznała w końcu jedna z nich.

- Prowadzi wiele dobroczynnych akcji. Lubi pomagać tam, gdzie może. Ale to nie znaczy, że jesteś jego następnym obiektem dobroczynności. Wszystkie widzimy, że jest tobą osobiście zainteresowany.

- Tak myślisz? Czyżbym przeoczyła oznaki? - Ortensia dramatycznym gestem położyła rękę na piersi. - *Cara*, czyżbym się naprawdę myliła? Czy to możliwe, że niedostępny Domenico Silvaggio d'Avalos nagle nie zadowolił się jedynie otwarciem portfela i w końcu otworzył też serce?

Arlene nie mogła pokazać tej kobiecie, jaka jest zgnębiona. Raczej trzeba stawić jej czoło.

- Nie jestem jego rzeczniką. Dlaczego nie spytasz jego, skoro jesteś taka zainteresowana?

Oczy Ortensii rozblęły w triumfie.

- Nie muszę! Rozpoznaję kulawe kaczątko, gdy je widzę, i znam Domenica. Gdy tylko spotka kogoś w tarapatach, natychmiast pędzi mu na pomoc. A jeżeli przypadkiem chodzi o kobietę na tyle jeszcze młodą, że ma wszystkie zęby, tym lepiej. W końcu jest Sardyńczykiem. Jedyna różnica między tobą a dziesiątkami innych przed tobą polega na tym, że spodziewa się większej nagrody.

- Chcesz powiedzieć, że chodzi mu o mój majątek? Ależ będzie rozczarowany!

Arlene mówiła lekkim tonem, rozpaczliwie pragnąc ukryć narastające przerażenie, ale Ortensia nie dała się nabrać.

- Chodzi mu o twoją ziemię. Uwiedzenie cię wydało mu się najprostszą drogą, by ją zdobyć. Jeżeli jeszcze tego nie rozumiałaś, jesteś naiwna i...

- Wystarczy. - Najstarsza spośród kobiet chwyciła Ortensię za rękę i pociągnęła do drzwi.

Pozostałe uśmiechnęły się do Arlene.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedziała jedna z nich. - Ortensia to zwykła pleciuga.

Może i tak, ale udało jej się zadać cios. Arlene mogła mieć pretensję tylko do siebie. To ona opowiedziała Domenicowi wszystko o sobie, i o spadku.

Przynajmniej mu nie powiedziała, że go kocha. I nigdy mu tego nie powie.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Arlene przybrała olśniewający uśmiech i wróciła do stolika.

Chociaż była tylko sekretarką w kancelarii prawniczej, wiele razy widywała milionerów i umiała się zachować. Tak więc prowadziła dowcipne rozmowy, okazywała zainteresowanie poruszonymi tematami, śmiała się w odpowiednich momentach, była urocza i błyskotliwa. Pozostawi Domenicowi takie właśnie wspomnienie. Nie będzie o niej myślał jak o żalosnej istocie, którą z litości na kilka dni wyniósł na swój ekskluzywny poziom, lecz jak o kobiecie, która potrafi się znaleźć w każdym towarzystwie.

Jednak płaciła za to wysoką cenę. Każdy uśmiech, każda zabawna czy bystra uwaga kosztowały ją bardzo wiele.

Zaledwie dwa dni temu powiedział: To nic takiego, gdy się poda rękę komuś potrzebującemu. Jaką korzyść miałyby się z pieniędzy, gdyby nie można ich wydać na dobrą sprawę?

I chociaż nie do końca skłamał, oszukał ją, nie wyjawiając w pełni, co miał na myśli. Ale najbardziej bolało ją to, że sama sprowadziła na siebie nieszczęście. Dawno temu powinna była powiedzieć mu „nie”. Zamiast tego ignorowała różne znaki i na oślep pędziła do swojego fałszywego raj.

Ale on nigdy się nie dowie, jak bardzo jest teraz nieszczęśliwa. Nie może mieć jego miłości, a litości nie chce.

Zanim wieczór dobiegł końca, od nieustannego uśmiechania się rozboleła ją twarz. Chciała już tylko wyjechać z Paryża i zapomnieć o tym wysokim,

przystojnym Sardyńczyku, który złamał jej serce. Ale najpierw miała jeszcze przed sobą noc, a Domenico bardzo jasno dał do zrozumienia, czego się spodziewa.

- *Cara*, jesteś dziś oszałamiająca - mruknął, gdy tylko znaleźli się w swoim apartamencie. Pomógł jej zdjąć płaszcz, a potem obsypał jej ramiona pocałunkami. - Nie mogłem się już doczekać, kiedy znajdę się z tobą sam.

- I ja też - powiedziała, przybierając pełen żalu ton. - Ale jestem taka zmęczona, że naprawdę chciałabym już iść spać.

- I pójdziesz spać - szepnął, rozpinając zamek błyskawiczny jej sukienki. - W moich ramionach. Tam, gdzie jest twoje miejsce.

- Domenico! - zaprotestowała, ale otoczyła ją przyprawiająca o zawrót głowy mgiełka namiętności i odebrała siłę, by się sprzeciwić.

Arlene uniosła twarz do pocałunku i zarzuciła Domenicowi ręce na szyję.

Nie zasnęła ani na chwilę. Przez resztą nocy planowała swoje pożegnanie. Nie będzie łez, lamentów, rozpaczliwego przytulania. Niezależnie od tego, ile ją to będzie kosztowało, pozostanie opanowana.

Gdy nadszedł świt, cicho wstała, umyła się i ubrała. Wyglądała na zadziwiająco spokojną, a przecież wewnątrz cierpiała jak potępieniec.

Domenico czekał na nią, też już ubrany.

- Mamy jeszcze czas na śniadanie przed wyjazdem na lotnisko - stwierdził.

Ale ona to przewidziała i miała gotową odpowiedź.

- Nie musisz ze mną jechać - powiedziała rażno. - Umówiłam się na śniadanie z Gail.

- Wobec tego wezwę samochód i we troje możemy...

- Nie, Domenico - przerwała mu. - Nie będzie samochodu ani śniadania dla trojga. Nie jestem dobra w długich pożegnaniach, więc zrobmy to szybko. Teraz.

- Ale, *cara*, skąd taki pośpiech? Liczyłem, że będziemy mieli czas, by porozmawiać o...

- Powiedzieliśmy sobie już wszystko. Pozostaje mi tylko powtórzyć jeszcze raz, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś.

- Więc pozwól chociaż, bym cię odprowadził do recepcji. - W jego głosie brzmiało zdziwienie, a także żal.

I przedłużać tę torturę?

- Nie!

Wziął ją za rękę, przyciągnął bliżej.

- Naprawdę chcesz, byśmy się tu pożegnali?

- Tak.

Objął jej twarz rękami. Jego oddech musnął jej czoło, a piękne, niebieskie oczy wpatrywały się w nią uporczywie.

- Nie musi tak się stać.

- Tak, Domenico, musi - odparła. Ta bliskość tylko zwiększała jej ból. - Na chwilę nasze ścieżki się skrzyżowały, i chociaż było to piękne, gdy trwało, było też...

Zabrakło jej słów. Nie mogła umniejszać tego cudu, jaki stał się ich udziałem.

- Jakie, Arlene? - spytał, a stalowy ton jego głosu przejął ją chłodem.

- Przemijające. To była po prostu... jesienna idylla. - Wzruszyła ramionami. - I teraz się skończyła. Ty masz swoje życie, ja mam swoje. Oboje wiemy, że żyjemy w innych światach, więc nie udawaj, że jest inaczej.

Patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem przez długą chwilę.

- Masz rację - powiedział w końcu. - Romanse na odległość nigdy do mnie nie przemawiały. Lepiej od razu położyć temu koniec. Żadnego z nas nie usatysfakcjonowałyby spędzany od przypadku do przypadku wspólny weekend.

- Właśnie. To, co nas łączyło, było nieprawdopodobne. Idealne. I niech tak pozostanie. - Spróbowała obdarzyć go jeszcze jednym olśniewającym sztucznym uśmiechem, ale twarz miała jak z drewna.

Ze łzami napływającymi do oczu, drżącymi ustami pocałowała go w policzek.

- Jeszcze raz ci dziękuję. Za wszystko.

Otoczył ją ramionami. Poczowała jego usta na czole i wiedziała, że musi uciekać natychmiast albo nie dotrzyma obietnicy, jaką sobie dała, że w ostatniej chwili się nie załamie.

- Do widzenia, Domenico - szepnęła i, chwytając torebkę i walizkę, skierowała się do drzwi.

W ostatniej minucie, zanim przekroczyła próg, usłyszała jeszcze jego głos:

- Arlene, nie odchodź.

Nie obejrzała się. Nie mogła.

- Muszę.

Usłyszała jego westchnienie.

- Więc idź, jeżeli musisz. Ale zrób to szybko.

Domenico leciał do Chile swoim samolotem. Będzie w Santiago koło dziewiątej, gotowy do rozpoczęcia dnia pracy. I wystarczająco daleko od wszystkiego, co ma związek z Arlene Russell.

Ogólnie rzecz biorąc, powinien być zadowolony, że tak chętnie odeszła. A on wypełnił wszystko, do czego się zobowiązał, i wypełnił to dobrze. Arlene nawiązała użyteczne znajomości, wywarła wrażenie na wszystkich, na których było warto. Teraz z czystym sumieniem mógł podążać dalej do następnego celu.

Jednak przez cały długi lot do Ameryki Południowej Arlene nie opuszczała jego myśli. Gorzej, nie opuszczała jego serca.

Zły na siebie, zamknął oczy. Lepiej byłoby mu z kimś takim jak Ortensia, która nawet przez sto lat nie zdołałaby przewrócić jego życia do góry nogami.

Żyjemy w innych światach, powiedziała Arlene, i to była prawda.

Sardynia to kraj o odwiecznych obyczajach, tak odmienny kulturowo od innych rejonów Europy, że nawet Włosi czują się tam jak cudzoziemcy. A on jest Sardyńczykiem do szpiku kości. Ma we krwi te szmaragdowe morza,

nieoblaskawione góry i ostry wiatr *sirocco*. Mógłby mieć rezydencje we wszystkich krajach świata, ale tylko na Sardynii czuł się jak w domu. Nie potrafiłby zamieszkać na stałe gdzie indziej. Ale Arlene jasno powiedziała, że wiąże swoją przyszłość z winnicą, która znajduje się na drugim końcu świata.

Wspominał jej nogi, długie i gładkie, owijające się wokół niego w spazmie rozkoszy... Sama myśl o tym, że mogłaby robić to samo z innym mężczyzną, przyprawiła go o furję. Arlene należy do niego.

Tyle że go nie chce. A on jest głupcem, sądząc, że tych kilka nocy wystarczy, by stworzyć stały związek. W Santiago ma wiele znajomych, które pomogą mu zapomnieć o słodkiej twarzyczce Arlene Russell, jej szarych oczach i rozkosznym ciele.

Arlene spędziła pierwszą noc po powrocie do Kanady u Gail, a następnego dnia poleciała na zachód.

Kolumbia Brytyjska powitała ją powiewem arktycznego powietrza i płatkami śniegu spadającymi z ołowianego nieba. Upредиła zarządcę, Cala Sweeneya, że przyjeżdża, ale dom, jej pierwszy własny dom, okazał się tak samo mało przyjazny jak pogoda. Ponury i zaniedbany, aż się prosił o kobiecą rękę. Natomiast Cal, którego już poznała przy okazji swojej pierwszej wizyty, niezbyt wierzył, że kobiety się do czegokolwiek nadają, i dał to do zrozumienia natychmiast, gdy tylko otworzył jej drzwi.

- Pewnie panienka nie przetrwa tu dłużej niż kwiatek na śniegu - oświadczył cierpko, rzucając niechętne spojrzenie na jej eleganckie zamszowe botki i wełnianą pelerynę, którą kupiła w Alghero. - No, ale skoro panienka i tak tu przyjechała, i jest szefem, chyba muszę panienkę wpuścić, chociaż zastanawiam się, czy Frank nie stracił tych ostatnich klepek, jakie jeszcze miał, zostawiając ziemię miastowej.

- Ja też się cieszę, że pana widzę - odparła miło.

Wyminęła go i weszła do ponurego i brudnego holu.



Jakby wyczuwając jej przygnębienie, dwa charty podeszły i dotknęły zimnymi nosami jej nóg. Pochyliła się i pogłaskała jedwabistą sierść.

- Jak się wabią? - spytała.

- Sam i Sadie. I od razu to powiem. Niech panienka nawet nie myśli o tym, żeby się ich pozbyć. Jeśli one odejdą, ja też odejdę. A lepiej niech panienka sobie wbije do głowy, że jeżeli mnie tu nie będzie, by panienką pokierować, nic panienka sama nie zrobi.

- Nie mam najmniejszego zamiaru się ich pozbywać. Ale widząc pańską postawę, mogę chcieć pozbyć się pana.

Przyjrzał jej się uważnie, a potem roześmiał i jego oczy niemal zniknęły w pomarszczonej twarzy.

- Wygadana, co? Może jednak jest panienka podobna do Franka.

Wątpliwy komplement, ale jednak komplement.

- Dziękuję... chyba.

Skinał głową i wskazał czekającą taksówkę.

- Wniosę bagaż. Chce panienka duży pokój z widokiem na jezioro?

- Raczej nie. Wolałabym ten na piętrze, jeżeli pan go nie zajmuje.

Zachichotał.

- Pewnie, że nie. Ja i psy mieszkamy w dawnym pokoju służącej, po drugiej stronie kuchni. Ten koniec domu będzie panienka miała dla siebie.

Ruszył, by zająć się walizkami, a Arlene poszła zwiedzać dom. Na dole była duża bawialnia i pokój stołowy, oba z kominkami, tak samo brudnymi jak reszta. Jednak musiał to kiedyś być piękny dom, i gdy się wszystko doczyści, pomaluje ściany, wypoleruje meble, znów będzie wspaniała.

- Właśnie tego potrzebuję, żeby nie myśleć o nim - poinformowała psy, które towarzyszyły jej w obchodzie.

Jeżeli przy lepszej pogodzie będzie pracowała na dworze i remontowała dom w inne dni, wieczorem może będzie tak wykończona, że tylko padnie na łóżko i



natychmiast zaśnie, zamiast leżeć bezsennie i tęsknić za mężczyzną, który mimo oczywistej niechęci, by pozwolić jej odejść, jednak na to pozwolił.

- Zrobiłem kolację - oznajmił Cal. Arlene właśnie sprawdzała zawartość lodówki. - Nie jest specjalnie frymuśna, ale wystarczy dla nas dwojga, jeżeli pani nie przeszkadza jedzenie w kuchni.

Uznając to zaproszenie za chęć nawiązania lepszych stosunków, Arlene podziękowała i usiadła przy stole. Cal nałożył im i psom gulasz z mięsa i jarzyn, i ukroił kilka grubych pająd chleba.

- Kupiłem go w piekarni w miasteczku - wyjaśnił. - Jest tam też całkiem przyzwoity sklep. Nie trzeba jeździć pięćdziesiąt kilometrów do miasta, jeżeli nie jest panna zbyt wybredna, by kupować u miejscowych.

- Nie jestem wybredna - odpowiedziała spokojnie. - Jestem zwyczajną osobą, która pracuje na swoje utrzymanie, tak samo jak pan.

- No więc wzięła pani na siebie cholerne zadanie, przyjeżdżając tutaj. Ta posiadłość popada w ruinę od lat. Nie pamiętam już nawet, kiedy ostatnio mieliśmy dobre zbiory.

- A ja liczę, że pan pomoże mi ją przywrócić do życia.

- To będzie mnóstwo kosztowało. Ma pani pieniądze?

- Nie. Ale mam mieszkanie, które sprzedaję, i trochę oszczędności.

- A co pani wie o uprawie winorośli?

- Prawie nic - przyznała i od razu przeszył ją spazm bólu, gdy napłynęły wspomnienia. Gdyby tylko istniał jakiś sposób, by pamiętać wszystko, czego się nauczyła, a zapomnieć o mężczyźnie, który ją tego nauczył! - A co pan o tym wie?

- Wystarczająco wiele.

- Więc będę się uczyła od pana.

- Chyba nie ma pani innego wyjścia - mruknął, ale usłyszała w jego głosie nutę szacunku.

- No to od jutra zabieramy się do pracy.

- Niewiele można zrobić przy tej pogodzie.

- Ale zawsze można obejrzeć posiadłość i ustalić, od czego zaczniemy na wiosnę.

I tak rozpoczęła się ich niezwykła przyjaźń. Cal Sweeney był humorzasty, szorstki, ale był po jej stronie.

Meble i inne rzeczy w końcu dotarły z Toronto. Umieściła je w garażu, póki nie doczyści domu. Teraz używała tylko jednej sypialni, jednej łazienki i kuchni.

Przemierzyła na piechotę każdy metr posiadłości i mimo okropnego zaniedbania, w jakim ta ziemia się znajdowała, czerpała zadowolenie ze świadomości, że to jej własność. Potem zabrała się do straszliwej harówki, jaką było oczyszczanie z zielska pierwszego akra. Miała nadzieję, że gdy nadejdzie wiosna, przynajmniej tu będzie już mogła coś zasadzić.

Cal obserwował ją przez kilka dni, aż w końcu dołączył do niej.

- Nie spodziewałem się, że pani wytrwa - oświadczył pod koniec drugiego tygodnia, gdy była już tak sztywna i obolała, że ledwo chodziła.

- Nie zamierzam się poddać - powiedziała, masując bolące plecy. - Nie wiem, jak to osiągnę, ale albo winnica będzie dawała plony, albo umrę.

- A ja nie opuszczę panienki - powiedział szorstkim tonem. - Razem to zrobimy.

Gdy na początku grudnia spadł śnieg i na dworze nie można już było pracować, Arlene zaczęła remont domu. Wymiotła nagromadzone przez lata śmiecie, skrobała ściany i podłogi tak zawzięcie, że zdzierała sobie skórę z rąk. Na strychu znalazła starą maszynę do szycia, na wyprzedazy kupiła całe kilometry ciężkiego bordowego brokatu i uszyła zasłony na wszystkie okna. Niektóre meble z domu nadawały się tylko do spalenia, ale inne po wyczyszczeniu i wypolerowaniu okazały się pięknymi antykami.

Wszystko kosztowało o wiele więcej, niż się spodziewała. Oszczędności rozchodziły się w zastraszającym tempie. Jednak nie żałowała. Zrujnowana plantacja, dom, psy i Cal - to było teraz jej życie.

Modliła się, by móc zapomnieć o Domenicu, ale modlitwy nie zostały wysłuchane. W odpowiedzi na list z podziękowaniami do jego rodziców, Renata napisała: „Mieliśmy nadzieję, że nas jeszcze odwiedzisz przed powrotem do domu. Następnym razem, gdy przyjedziesz, zostań dłużej”.

Domenico się nie odezwał. Na pewno zajął się następnym kulawym kaczątkiem.



## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

- Zadbać o naszą przyszłość - odpowiedziała Calowi, gdy spytał ją, gdzie się wybiera „taka wyszykowana jak miastowa”. - Otwórz nasze wino. Wieczorem będziemy świętowali.

Dwie godziny później wyjeżdżała z miasta. Skreśliła na małą uczęszczaną dróżkę, zatrzymała samochód, oparła głowę o kierownicę i rozplakała się.

Ralph McKinley, kierownik banku, odrzucił jej podanie o pożyczkę. Poinformował ją, że te siedem akrów to ziemia Indian, jedynie oddana w dzierżawę na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, z których upłynęło już dziewięć. A to oznacza, że na własność ma tylko dom i zabudowania gospodarcze, co absolutnie nie wystarczy jako zabezpieczenie pożyczki.

Zgodnie z tym, co mówił, jej jedyną nadzieją byłoby znalezienie prywatnego inwestora. Chociaż jest to mało prawdopodobne, powiedział jej szczerze, a poza tym taki inwestor na ogół żąda wysokich odsetek. Jednak czasami się zdarza, jeżeli jakaś firma chce uzyskać ulgę podatkową.

Jak do tego doszło? - myślała. Jeszcze trzy miesiące temu wiodła uporządkowane, chociaż raczej nudne życie. A teraz wszystko się rozpadło. Oszczędności prawie się rozeszły, mieszkania w Toronto jeszcze nie zdołała sprzedać, była chora ze zmartwienia i doszczętnie wyczerpana przez ciężką pracę, a na dodatek miała złamane serce. Jakby tego jeszcze było mało, zbliżające się Boże Narodzenie chyba będzie najgorsze ze wszystkich, jakie przeżyła, nawet gorsze niż w czasach jej nieszczęśliwego dzieciństwa.

A za to wszystko mogła mieć pretensję tylko do siebie. Rzuciła się na ten spadek, nie przeczytała nawet wypisanych drobnym drukiem akapitów w testamencie, wdała się w romans z charyzmatycznym cudzoziemcem, nie zastanawiając się nad emocjonalną ceną, jaką będzie musiała zapłacić.

- Panienczko, wydajesz się trochę załamana - powitał ją Cal, gdy w końcu opanowała się na tyle, że mogła pojechać do domu. - Przyszłość nie wygląda tak jasno, jak się spodziewałaś, prawda?

Zbyt zrozpaczona, by robić dobrą minę do złej gry, powiedziała mu, że nie dostała pożyczki.

- I nie wiem, czy zdołam zatrzymać plantację.

- Co to znaczy: „czy ty zdołasz”? Arlene, jesteśmy tu oboje. Odłożyłem kilka dolarów i mogę ci je dać.

Rzadko zwracał się do niej po imieniu. To, że teraz tak powiedział, z tą swoją szorstką serdecznością, niemal przyprawiło ją o nowy atak płaczu.

- Nie mogę wziąć twoich pieniędzy - powiedziała przez łzy.

- Nie rozumiem dlaczego. I tak nie mam co z nimi zrobić. - Niemal wepchnął ją do bawialni, gdzie na kominku płonął ogień. - Ktoś w końcu kupi twoje mieszkanie, więc przestań się mazać. Niepokoisz psy.

- Och, Cal! - Udało jej się uśmiechnąć. - Jak ja ci się odwdzięczę za to, że tak mnie wspierasz?

- Powiem ci jak. Jedź do miasta, do tego młokosa, który każe nazywać się doktorem, i niech cię zbada. Nie jesteś płaczliwa, panienko. Byle co nie doprowadza cię do łez. Nie zdziwiłbym się, gdyby po tej całej harówce wyczerpały ci się akumulatory. Pewnie potrzebujesz jakiegoś naładowania.

- Może i masz rację - przyznała. - Ostatnio czuję się fatalnie. Umówię się na przyszły tydzień.

- Dobrze. - Założył kciuki za pasek spodni. - A teraz powiedz, gdzie mam postawić choinkę.

- W ogóle o tym nie myślałam.

- Szkoda. Bo wyciąłem drzewko, gdy byłaś w mieście. Więc zdecyduj, gdzie ma stać, albo postawię je tam, gdzie zechcę.

- Chyba... tam, w rogu między oknami.

- Cieszę się, że właśnie tam, bo to najlepsze miejsce. Przygotuj nam coś do jedzenia. Jestem taki głodny, aż mój brzuch myśli, że ktoś podciął mi gardło.

Arlene się roześmiała.

- Tylko się przebiorę i zrobię zupę i kanapki. Ale, Cal, nie mamy żadnych ozdób ani światełek.

- Nie szkodzi, póki pachnie jak trzeba. Sam fakt się liczy. Rodziny ustawiają choinki, tak to właśnie jest.

Nie mógł wiedzieć, jak bardzo wzruszyły ją te słowa, jak podniosły ją na duchu. Zawsze zazdrościła ludziom tego, że mają rodziny, zdołała jednak opancerzyć się przed bólem samotności. Ale Domenicowi przez ten krótki czas, w kilka dni, udało się ukraść jej serce. Sprawił, że sobie uświadomiła, czego naprawdę jej brakuje: nie tyle wielkiej namiętności, co ciepła i przynależności do jakiegoś miejsca.

A teraz, w wieku prawie trzydziestu lat, miała Cala i psy. Nie było to wiele według standardów innych ludzi, ale jej dawało poczucie bezpieczeństwa, jakiego nigdy przedtem nie doznała. I chociaż cierpiała, bo już więcej nie zobaczy mężczyzny, do którego tak boleśnie tęskni, dzięki temu troszkę łatwiej było jej to cierpienie znosić.

Umówiła się z lekarzem na następny poniedziałek. Boże Narodzenie było już za trzy dni, więc postanowiła zaczerpnąć ze swojego nędznego kapitału i przy okazji zrobić jakieś zakupy. Właśnie miała wychodzić, gdy zadzwonił do niej Ralph McKinley i poprosił, by do niego wstąpiła.

- Chyba nie przekroczyłam stanu konta? - spytała zaniepokojona.

- Nie, absolutnie nie! - wykrzyknął radosnym głosem. - O której może pani przyjść?

- Za jakieś pół godziny.

- Doskonale. Czekam. Och, pani Russell, chyba moje nowiny bardzo panią ucieszą.

Czyżby stryjek Frank zostawił w skrytce skrzyneczkę ze studolarowymi banknotami i zapomniał wspomnieć o tym w testamencie? - rozmarzyła się, podjeżdżając pod bank.

- Przejdę prosto do sedna - oświadczył McKinley. - Może pani pamięta, jak mówiłem, że czasami ktoś bardzo bogaty chce zainwestować w niepewny interes, żeby uzyskać ulgę podatkową?

- Tak. Czyżby właśnie ktoś taki się pojawił?

- Owszem. - Przesunął w jej stronę pojedynczą kartkę. - To jest umowa. Pewien człowiek chce sfinansować odbudowę plantacji. Daje więcej, niż mogłaby pani uzyskać w jakimkolwiek banku.

- Mówił pan też, że przy tego rodzaju pożyczkach odsetki są o wiele wyższe niż w banku.

- Nie w tym wypadku. Umowa stwierdza, że pani wykonuje pracę, a inwestor dostarcza funduszy. Chce być cichym współnikiem.

- I odbierze mi posiadłość, jeżeli nie zdołam go spłacić.

- Nie. Umowa wymienia tylko dwa warunki: równy podział przyszłych zysków i prawo pierwokupu pani połowy po cenie rynkowej, gdyby pani postanowiła sprzedać.

- Dlaczego ktoś chciałby kupić plantację, skoro ziemia nie należy do mnie?

- Bo dzierżawa jest ważna jeszcze przez dziewięćdziesiąt lat. Przy właściwym zarządzaniu można na tym zrobić majątek.

- Wygląda to tak dobrze, że aż nie może być prawdziwe. Kto jest tym dobroczyńcą?

- Nie podano nazwiska, a jedynie numer rejestracyjny firmy. Oferta jest w pełni zgodna z prawem. Proszę przeczytać umowę. Ale już teraz mogę pani powiedzieć, że jest uczciwa i nie ma tu żadnych pułapek. Zostawię panią samą. Proszę dokładnie wszystko przeczytać.

Arlene wzięła głęboki oddech. Ta oferta została jej chyba zesłana przez niebo. Ale jest Boże Narodzenie, czas cudów.

Jednak tym razem się nie spiesz, napomniła się. Przeczytaj każde słowo dwa razy. Czytaj to, co napisano w wierszach, i to, co między wierszami.

Gdy wrócił McKinley, powiedziała mu, że nic nie podpisze bez konsultacji z prawnikiem.

- Zadzwoń do Grega Lawsons - zaproponował bankier. - Ma kancelarię po drugiej stronie ulicy.

Okazało się, że prawnik ma teraz czas. Zaraz przyszedł.

- Uważam, że spokojnie może to pani podpisać - powiedział po starannym zapoznaniu się z treścią umowy. - Nie wiem tylko, kto podpisuje w imieniu tamtej firmy.

- Ja - oznajmił McKinley. - Mam upoważnienie.

- Więc chwytaj za pióro. Wesołych świąt, pani Russell.

Arlene wracała do domu w euforii. Gdy wyszła od lekarza, który stwierdził, że jest zdrowa i tylko zalecił, by trochę więcej odpoczywała, postanowiła pojechać do większego miasta i zaszaleć w sklepach. Pod choinką obwieszoną nowymi łańcuchami i bombkami, z nowymi wielokolorowymi lampkami, znajdują się prezenty dla Cala i psów.

Gdy nadszedł wieczór, na Cala czekały jego ulubione dania: żeberka, tłuczone kartofle, marchewka, a wszystko to w pysznym sosie od pieczeni. Zwykle, ucziwe jedzenie, a także butelka dobrego czerwonego wina i szarlotka z bitą śmietaną, podane nie w kuchni, lecz pokoju jadalnym, ze świecami na stole i świątecznymi papierowymi serwetkami.

- Ha! Co za elegancja - zdziwił się. - Spadły nam z nieba jakieś pieniądze?

- Faktycznie, spadły - odparła i opowiedziała mu o spotkaniu w banku.



- Gdybyś mnie pytała, to w tej umowie jest coś podejrzanego - mruknął. - Ludzie nie dają, nie oczekując niczego w zamian. A już zwłaszcza nie bogaci ludzie! W ten właśnie sposób robią pieniądze.

- Ani Ralph McKinley, ani Greg Lawson nie znaleźli w tym żadnej pułapki i dali swoją aprobatę.

- McKinley to bystry chłopak - przyznał niechętnie Cal. - A młody Lawson też nie jest zły, biorąc pod uwagę, że jest prawnikiem.

- Cal, nigdy o tym nie rozmawialiśmy - powiedziała Arlene, gdy już kończyli kolację - ale jak to się stało, że plantacja popadła w taką ruinę?

- Wódka - odparł szorstko. - Frank zawsze dużo pił, ale naprawdę zaczął się upijać jakieś siedem lat temu, gdy po dwóch sezonach z kolei nie udały się zbiory. W końcu zapił się na śmierć. Robiłem, co mogłem, ale to nie jest robota dla jednego człowieka, a poza tym już nie jestem młody. Arlene, jeżeli chcesz osiągnąć sukces, na wiosnę musisz nająć ludzi.

- Zostawiam to tobie. Ty jesteś tu zarządcą i cokolwiek powiesz, tak zrobimy.

Gdy Cal wyszedł z psami, Arlene poszła do siebie, wzięła prysznic i włożyła długą nocną koszulę, białą we wzorek z paczków róż i niezapominajek, ciepły różowy szlafrok i również różowe kapcie. No i co z tego, że wygląda trochę jak własna babcia? Nie spodziewa się gości.

Potem wróciła do bawialni. Oglądała telewizję, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Myśląc, że Cal niechcący je zatrzasnął, poszła otworzyć.

I rzeczywiście zobaczyła Cala z psami, ale za nim stał ktoś inny.

- Przyłapałem faceta, gdy węszył koło domu - oznajmił Cal. - Miał ten sam samochód co wczoraj, gdy kręcił się tu jak lis wokół kurnika. Twierdzi, że go znasz. To prawda?

- Tak, znam - odparła głucho.

I nagle ją olśniło. Już wiedziała, kim jest jej dobroczyńca.

- Arlene - powiedział Domenico - tak się cieszę, że znów cię widzę. Mogę wejść?

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Sądząc po jej minie, był tak samo mile widziany jak epidemia dżumy. Ale, ponieważ to ona odeszła do niego w Paryżu, nie powinien był się niczego innego spodziewać. Tyle że jej wspomnienie nawiedzało go od chwili rozstania i obrzydło mu już przegrywanie w walce, której nie miał nadziei wygrać. Chciał tego czy nie, zaszła mu za skórę. Przyszedł czas, by z powrotem ją zdobyć, albo raz na zawsze wyegzorcyzmować z umysłu i serca.

- Mogę wejść? - powtórzył, patrząc jej w oczy.

Leciutko skinęła głową i odstaąpiła na bok, jakby się bała, że swoim dotykiem może ją skalać. Zauważył, że schudła. Wydawała się wycieńczona, zmęczona, i naszedł go trudny do opanowania impuls, by chwycić ją w ramiona i nigdy już nie puścić.

Dlaczego bardziej o siebie nie dbała? I dlaczego on tak długo czekał, zanim przybył jej na ratunek?

Otrzeputując śnieg z butów, wszedł do środka.

- Panienko, mam się tu trochę pokręcić? - spytał Cal, wpatrując się w Domenica ze złością.

- Nie trzeba - odparła. - Nasz gość nie zostanie długo.

- Będę w kuchni, gdybyś zmieniła zdanie.

- Dziękuję, Cal.

Czekała, aż odejdzie, a potem zwróciła się do Domenica:

- Po co przyjechałeś?

- Bo nie mogłem być z dala od ciebie.

- Oczywiście, że nie. Jaką byś miał satysfakcję z robienia przysług, gdybyś potem nie widział na własne oczy wdzięczności? Dziwi mnie tylko, że tak długo czekałeś.

Pochylony głaskał psy, które ocierały mu się o nogi i dopraszały pieszczot, ale słysząc, co powiedziała, gwałtownie się wyprostował.

- Co takiego?

- Och, proszę cię! - wykrzyknęła z pogardą, idąc do pokoju po prawej. - Wiem, że to ty jesteś moim anonimowym dobroczyńcą. Żałuję tylko, że nie domyśliłam się wcześniej. A przecież twoja przyjaciółka Ortensia mnie ostrzegła.

Poszedł za nią i znalazł się w pięknej bawialni, oświetlonej tylko lampkami na choince i ogniem w kominku.

- Co Ortensia ma z tym wspólnego?

- Powiedziała mi, że chcesz zdobyć moją ziemię. A ja jej nie uwierzyłam. - Jej śliczne usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - Idiotka ze mnie, prawda? Powinnam była pamiętać, jak mówiłeś, że nikomu nie pozwalasz stanąć ci na drodze do rzeczy, które chcesz mieć.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że może chciałbym ciebie?

- Miałeś mnie. W Paryżu.

W jego oczach błysnęła iskierka gniewu.

- Arlene, możesz mną gardzić, jeżeli chcesz, ale nie próbuj umniejszać tego, co nas łączyło w Paryżu. Nie pozwolę na to.

- A ja nie pozwolę, byś mną manipulował. Nie jestem zabawką, którą możesz brać albo rzucać, zależnie od kaprysu.

Wzięła ze stołu umowę i rzuciła mu. Łapiąc ją, powiedział:

- Jeśli chodzi o ciebie, zawsze działałem w dobrej wierze.

- Próbowałeś mnie kupić, a ja nie jestem na sprzedaż.

- Próbowałem ci pomóc, bo troszczyć się o ciebie.

- Nie chcę, żebyś się o mnie troszczył, i nie potrzebuję od ciebie pomocy.

Więc jeżeli przebyłeś całą tę drogę z Sardynii, żeby wyciągnąć mnie z przepaści, w jaką twoim zdaniem wpadłam, tylko traciłeś czas.

- Byłem w Ameryce i postanowiłem wstąpić do ciebie po drodze do domu.

Pokręciła głową.

- Gdzie w Ameryce?

- Na moim uniwersytecie. W Kalifornii.

- W Kalifornii? - Roześmiała się, ale w oczach miała rozpacz. - Chyba gdzieś na południe od granicy skręciłeś w złą stronę.

Domenico rozpiął płaszcz.

- To jedna z zalet posiadania własnego samolotu - wycedził. - Sam mogę decydować, w jakim kierunku lecę i gdzie ląduję. W tym wypadku postanowiłem wylądować tutaj, bo ze wszystkiego, co słyszałem, wnoszę...

- Co słyszałeś? - wybuchnęła. - Kto gada o mnie za moimi plecami? Jeżeli to Ralph McKinley z banku...

- To nie był McKinley. *Dio*, Arlene, mam kontakty biznesowe na całym świecie, łącznie z tym małym zakątkiem twojego kraju. Kilka telefonów wystarczyło, by potwierdzić to, co podejrzewałem. Razem z tą posiadłością odziedziczyłaś spore kłopoty. Potrzebujesz gotówki, by się z nich wydobyć.

- Więc popędziłeś mi na pomoc? - spytała sarkastycznie.

Z trudem zdobywał się na cierpliwość.

- Ktoś musiał, a nie widziałem nikogo chętnego. Natomiast ja nie zamierzałem pozostać bezczynny. Ja tak nie postępuję.

- Wiem dokładnie, jak postępujesz. - W jej oczach zalśniły łzy. - Masz pieniądze, więc kupujesz, cokolwiek zapragniesz, czy to rzeczy, czy to ludzi. Kupiłeś pałacyk we Francji, bo cytując ciebie: miałeś taką fantazję. Potem kupiłeś pewną rodzinę, by się nim opiekowała. Nie mieszkasz tam, więc dajesz personelowi coś do roboty, przysyłając na lato biedne dzieci.

- Nie tylko na lato - wpadł jej w słowo. - Przyjeżdżają też na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Jeżeli zamierzasz spisać listę moich wad, to przynajmniej bądź tak uprzejma i sprawdź wszystkie fakty, zanim mnie potępisz.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- Chodzi o to, Domenico, że jesteś kolekcjonerem. A już zwłaszcza lubisz kolekcjonować ludzi, którzy mają kłopoty, bo wtedy czujesz, że jesteś dobrym człowiekiem. A jeżeli tak się ułoży, że jedna z tych osób akurat ma kawałek dobrej ziemi, dlaczego by nie zdobyć do niego prawa, jeżeli to możliwe? Nie dlatego, że kiedyś należał do królewskiej rodziny jak twój *château*. Nie dlatego, że winnica doskonale prosperuje. Nie z żadnego powodu tego rodzaju, lecz dlatego, że masz taką fantazję. - Zamilkła tylko na chwilę potrzebną do nabrania oddechu. - Ale prędzej cię piekło pochłonie, niż dostaniesz tę ziemię!

Zaszokowany jej wybuchem, pokręcił głową.

- Kobieto, czy ty słyszysz, co mówisz? To śmieszne sugerować, że chcę twojej ziemi. Sama się zastanów, na co by mi się przydało siedem marnych akrów, skoro mam ich setki na całym świecie, a wszystkie dają wino najlepszej jakości, czego o twojej plantacji nie można powiedzieć.

- Właśnie! - krzyknęła, a łzy spływały jej po policzkach. - Ta ziemia nawet nie jest ci potrzebna. Ty po prostu uwielbiasz rządzić ludźmi. No więc mną nie będziesz rządził. Zabieraj swoje pieniądze i idź sobie.

Jej rozpacz poruszyła go bardziej, niż chciałby przyznać. Z trudem się powstrzymywał, by nie wziąć jej w ramiona i razem ze łzami scałować cały ten gniew, podejrzenia i cokolwiek jeszcze ją niepokoiło. Ale, zaszokowany jej brakiem zaufania, nie ruszył się.

- Jeżeli tak mnie widzisz, jako manipulanta, który posługuje się tobą, by pochlebić własnemu ego, to nie pozostaje mi już nic do powiedzenia.

- Wreszcie w czymś się zgadzamy!

- Oprócz tego. - Wyjął z kieszeni własną kopię umowy, przedarł obie na pół i wrzucił do kominka. - Proszę. Nie musisz się już przejmować. Nie będzie cichego wspólnika kontrolującego twoje życie. Nie będzie prawa pierwokupu, jeżeli postanowisz sprzedać plantację. Twoja cenna ziemia jest bezpieczna, i ty też. Od teraz nie mam już z tobą nic wspólnego.

- I bardzo dobrze! Wychodząc, zabierz też swoje pieniądze.

- Obawiam się, że nie mogę. Są zdeponowane na twoim rachunku, i nawet taki światowej klasy manipulator jak ja nie ma do nich dostępu.

- Nie chcę ich.

- Więc daj je komuś, kto będzie chciał, spał, zrób z nimi, co tylko ci przyjdzie do głowy. - Przesunął spojrzeniem po psach drzemających przy kominku, po starym zarządcy, który, zapewne zaniepokojony podniesionymi głosami, wrócił i stał w drzwiach. - Ale gdyby to ode mnie zależał czyjś los, tak jak ich zależy od ciebie, odłożyłbym dumę na bok, zanim odebrałbym im szansę na lepsze życie.

Zająknęła się i ukryła twarz w dłoniach, nie tak gładkich i białych jak kiedyś, lecz pokaleczonych, zaczerwienionych, z krótko obciętych paznokciami. To były ręce kobiety, która ciężko pracuje. Patrzył na nie z żalem.

W końcu zduszonym głosem, spytała:

- Dlaczego musiałeś wrócić do mojego życia? Dlaczego nie mogłeś po prostu zostawić mnie w spokoju?

- To się nazywa troska o ludzi, których kochamy, Arlene. Niezależnie od tego, czy ci ludzie dbają o nas na tyle, by odwzajemnić miłość - powiedział ze smutkiem. - A jeżeli to cię obraża tak samo jak wiele innych moich występków, podaj mnie do sądu!

Ruszył do wyjścia, zatraskując za sobą drzwi tak mocno, że psy się wzdrygnęły, a cały dom zadrżał.

- Jesteś zadowolona z siebie? - spytał cicho Cal.

Arlene uniosła głowę i spojrzała na niego przez łzy.

- Nie mów mi tylko, że jesteś po jego stronie - jęknęła.

- Nie widzę, co on zrobił takiego złego, prócz tego, że zdjął z ciebie wielkie brzemie. Panienko, za bardzo naciągnęłaś jego cierpliwość. Dziwię się, że nie wyszedł wcześniej. Musi być oszalały z miłości.

- Tylko tak mówi, żeby usprawiedliwić swoje postęпки. W rzeczywistości wcale mnie nie kocha.

- Więc dobrze udaje. Na jego miejscu uciekłbym już wtedy, gdy zaczęłaś go oskarżać o to, że zniszczył ci życie. Ale gdy o tym pomyślę, to nie ma wiele sensu. Widziałem, jak praktycznie od dnia, kiedy przyjechałaś, rozpaczasz i kręcisz się w kółko jak zagubione jagnię.

Podszedł do kominka i wrzucił nową kłodę

- Teraz wiem dlaczego. Nie rozumiem tylko, czemu pozwoliłaś mu odejść, gdy widać jak na dłoni, że go pragniesz. Ale też nigdy nie udawałem, że rozumiem kobiece kaprysy. I oszczędziłem sobie mnóstwa kłopotów, nie próbując ich zrozumieć.

Zaszokowana jego słowami, Arlene podeszła do okna. Na dworze padał gęsty śnieg. Drogi będą niebezpieczne, zwłaszcza dla kogoś nieobeznanego z tutejszymi warunkami.

- Nie jest przyzwyczajony do takiej pogody - powiedziała nerwowo. - Mam nadzieję, że prowadzi ostrożnie.

- Nie wydał mi się takim typem, który dałby się pobić pogodzie.

- Tutaj mógłby. Na Sardynii chyba nigdy nie pada śnieg. Cał, a jeżeli będzie miał wypadek?

Ogarnął ją niepokój, zapomniała o złości. Mówiła podłe rzeczy, niewybaczalne. Słowa, którymi chciała ranić. Pobudziła mężczyznę, którego kochała, do gniewu nawet większego niż jej własny. Jego usta, które kiedyś ją uwiodły swoim żarem, stały się twarde i zimne, a oczy kamienne. Odjechał w furii.



Dwa dni temu mężczyzna będący tu tylko przejazdem, za szybko wziął zakręt i wpadł do rowu.

Niemal zamarzył na śmierć, zanim przypadkiem natknął się na niego jakiś kierowca.

Jeżeli Domenico miałby wypadek, to byłaby jej wina. Jak mogłaby potem żyć, wiedząc, że jej zachowanie nie było podyktowane słusznym oburzeniem, lecz irracjonalnym rozczarowaniem spowodowanym tym, że mimo wszystkiego, co chciał jej dać, jej to jeszcze nie wystarczało?

Jeżeli coś mu się stanie, ona umrze.

Dlaczego go odesłała, kiedy chciała błagać, by zapomniał wszystko to, co powiedziała ostatniego dnia w Paryżu? On wtedy dał do zrozumienia, że nie chce kończyć ich znajomości, i chociaż spokojnie przyjął jej odmowę, teraz uświadomiła sobie, że w rzeczywistości nigdy z niej nie zrezygnował.

Gdyby chciał jedynie być jej dobroczyńcą, bez trudu mógłby to załatwić z jakiegokolwiek miejsca na świecie. Nie musiał wracać z Kalifornii na Sycylię przez Kanadę. Nie musiał ryzykować, prowadząc samochód po zaśnieżonych, nieznanych drogach.

„Tęsknimy za tobą”, napisała Renata w swojej świątecznej pocztówce. „Wszyscy”.

Dopiero teraz Arlene zrozumiała te słowa.

Powiew zimnego powietrza owiał jej nogi. Psy wstały i zaczęły machać ogonami. Pewnie Cal otworzył drzwi, żeby je wypuścić przed nocą.

- Cal, gdyby on naprawdę mnie kochał - odezwała się - dlaczego mi tego nie powiedział, zamiast próbować mnie kupić?

- Bo masz rację - odpowiedział głęboki, znajomy głos, ukochany głos. - Jestem bardzo dobry w rządzeniu innymi, a wybitnie nieudolny w kierowaniu własnym życiem.



Odwróciła się gwałtownie, serce podeszło jej do gardła. W jego czarnych włosach lśniły płatki śniegu, w oczach miał wyzwanie. Wyglądał cudownie.

- Wróciłeś - szepnęła.

- I dobrze - mruknął Cal. - Oszczędził mi konieczności szukania go. - Zerknął na nich spod nastroszonych brwi. - Chyba wezmę psy i sam się też usunę, bo pięcioro to już tłum. Reszta należy do was.

Rozpaczliwie pragnąc wypełnić ciszę, jaką Cal po sobie zostawił, Arlene powiedziała:

- Cieszę się, że wróciłeś. To nie jest dobry czas na jeżdżenie po nocy. Mam cztery sypialnie, więc jest mnóstwo miejsca. Zostań i...

- Nie wróciłem z powodu pogody.

- Więc dlaczego? - odważyła się spytać.

- Z tego samego powodu, który podałem, gdy pytałaś przedtem. Bo nie mogę być z daleka od ciebie, a próbowałem. Gdy zastanowiłem się, czego potrzebuję, żeby nadać mojemu życiu znaczenie, mój słynny obiektywizm całkowicie mnie zawiódł.

Podszedł bliżej. Uniósł palcem jej brodę, żeby napotkać jej spojrzenie.

- Przez ostatnie dwa miesiące podróżowałem po trzech kontynentach, byłem w pięciu krajach, a ty wszędzie za mną podążałaś. Przyjechałem tu, bo w końcu przyjąłem do wiadomości, że zawsze jesteś ze mną, niezależnie od tego, jak daleko ucieknę. Arlene, nie mogę żyć bez ciebie. Więc jeżeli nie powiesz mi prosto w oczy, że mnie nie chcesz, zostanę - i to nie w pokoju gościnnym!

Patrzyła na niego, tonęła w tych oczach w kolorze letniego nieba. Była zamrożona w beznadziei i strachu. Ale z każdym jego słowem, każdym spojrzeniem, każdym dotykiem, lód, w którym utknęła, tajał odrobinę bardziej.

- No więc? - szepnął. - Co mi odpowiesz, *cara mia*? Czy tracimy oboje czas, czy też zależy ci na mnie choć troszeczkę?

- Wiesz, że tak - powiedziała z drżącym westchnieniem.

- Wystarczająco, żeby przeżyć ze mną życie?
- Jak mogłabym? Twój dom jest na Sardynii.
- Twój też mógłby tam być. - Dotknął jej policzka.
- Nie mogę stąd wyjechać. Gdy przyjąłem spadek, podjąłem zobowiązanie wobec Cala, wobec psów. To może ci się wydawać dziwne, ale...
  - Tak postępuje moja Arlene - przerwał jej. - Kobieta, która dotrzymuje słowa i która nauczyła mnie, że dzielenie się z innymi wszystkim oprócz serca czyni z człowieka biedaka.
    - O czym ty mówisz? - wydyszała, przestraszona, że czyta w jego słowach więcej, niż chciał powiedzieć.
    - Że nie proszę cię, byś złamała słowo albo zrezygnowała z tej posiadłości. Rozumiem, ile to dla ciebie znaczy.
    - Nie tylko dla mnie. To jedyny dom, jaki Cal zna. Kocha to miejsce. Rozumie tę ziemię i wie więcej o uprawie winorośli niż ja kiedykolwiek będę wiedziała. To nie jego wina, że plantacja tak podupadła. Jedynym jego pragnieniem jest zobaczyć, jak winnica wraca do stanu, w jakim była kiedyś, zanim mój stryj pozwolił jej popaść w ruinę. Niestety jest za stary, by samemu wykonać tę całą pracę.
    - Znajdziemy mu pomocników. *Tesoro*, to nie jest problem. Możemy spędzać część roku tutaj, jeżeli tego chcesz. Już zdążyłem się przekonać, jakie to miejsce jest piękne, i rozumiem, że każdy człowiek jest zakorzeniony w swoim rodzinnym kraju. Ale mówiłem poważnie, że nie uznaję romansów na odległość. Arlene, potrzebuję cię przy moim boku, gdziekolwiek będzie nasz dom.
    - Jako kto? - spytała, mocno czepiając się tej resztki rozsądku, jaka jej jeszcze została. Bo rozpaczliwie pragnęła rzucić mu się w ramiona i słuchać tylko tego, co mówi jej serce.
      - Jako moja żona oczywiście.
      - Dlaczego?
      - *Dio!* Znów to pytanie. A jak myślisz?

- Gdybym wiedziała, nie pytałabym.
- Kocham cię. Już ci to mówiłem.
- Nie mówiłeś. Rzuciłeś we mnie tymi słowami, ale brzmiały raczej jak

przekleństwo niż wyznanie miłości.

- Więc powiem to jeszcze raz. Kocham cię! Wiem, że nie jest to magiczne zaklęcie, że będzie wiele problemów, które musimy rozwiązać. Oszczędziłbym ci ich, gdybym mógł...

Położyła mu rękę na ustach, by go uciszyć.

- Domenico, nie. Właśnie tak zaczynaliśmy. A ja nie jestem dzieckiem. Nie musisz mnie chronić przed rzeczywistością. W życiu zawsze zdarzają się kłopoty. Tak to już jest. Ale dwoje ludzi uczy się radzić sobie z nimi razem.

Uśmiechnął się i objął ją.

- To stwarza bardzo interesujące możliwości - powiedział, pochylając się, by ją pocałować.

Odsunęła się, wiedząc, że jeżeli ją pocałuje, ona zgodzi się na wszystko.

- W twoich ustach to jest takie proste, a przecież proste nie jest.

- Owszem, jest. Nauczyłem się, że trudno jest znaleźć właściwą kobietę, którą można pokochać. Reszta jest bardzo prosta. - Po raz drugi przyciągnął ją bliżej. - Czy muszę błagać? - szepnął jej we włosy. - Czy nie wystarczy, że oddaję ci wszystko, czym jestem? Że moim największym pragnieniem jest uczynić cię szczęśliwą? Czy nie możesz zrozumieć, jak bardzo mnie zasmuca, że trzymasz mnie na dystans, że nie pozwalasz mi pokazać, na wszystkie możliwe sposoby, jakim skarbem dla mnie jesteś?

- Przestań! - wyszeptała. Ostatnie resztki oporu spłynęły wraz ze strumieniem łez. - Proszę, proszę, nie mów tak! Sprawiasz, że się wstydzę.

- Czego? Moralnej uczciwości? Lojalności wobec tych, którzy na tobie polegają? Arlene, *mia innamorata*, właśnie to jeden z powodów, dla których się w tobie zakochałem. Jesteś kobietą, której szukałem przez pół życia. Nie proś mnie,

bym pozwolił ci odejść teraz, gdy cię znalazłem. Uczyń moje życie pełnym. Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

- Tak - powiedziała i ostatni kawałek lodu w jej sercu stopniał pod jego gorącym spojrzeniem. - Och, tak, wyjdę za ciebie.

## ***ROZDZIAŁ DWUNASTY***

Gdy wróciła do Kanady, wspomnienie tamtych nocy w Paryżu było taką udawką, że pragnęła już tylko umrzeć. W końcu powoli, wyczerpana ciężką harówką w nowym domu, zdołała je pogrzebać. Jednak od czasu do czasu wspomnienie wracało i szarpało jej sercem. Wiedziała, że to, czego doświadczyła z Domenikiem, nigdy się nie powtórzy.

Jakże szybko przekonała się, że była w błędzie! W ciepłe i mroki swojej sypialni, gdzie tylko padające za oknem płatki śniegu były świadkami tego cudu, Domenico przypieczętował ich pojednanie, odnowił znajomość z jej ciałem i podsycił ledwo tłący się żar zduszonego siłą pożądania tak umiejętnie, że płomień wzbił się pod niebo, tym gorętszy, że przedtem był siłą tłumiony.

Nie mogli się sobą nasycić. Namiętność niosła ich przez ciche godziny nocy, a gdy nastał brzask, Arlene w końcu zasnęła w ramionach Domenica. Po raz pierwszy od miesięcy spała spokojnie i mocno.

Cal rozpałił w kominku w pokoju jadalnym i nakrył do stołu.

- Chyba nie muszę pytać, czy mieliście dobrą noc - powiedział złośliwie, gdy wreszcie zeszli na dół. - Wydajecie się wykończeni.

Arlene zaczerwieniła się, ale Domenico głośno się roześmiał.

- Lubię ludzi, którzy mówią bez ogródek co myślą. Cal, ponieważ ojciec Arlene nie żyje, czy mógłbym cię prosić, byś w jego zastępstwie udzielił nam błogosławieństwa? Arlene zgodziła się wyjść za mnie.

- Tak właśnie myślałem, że coś takiego musiało się zdarzyć. Nigdy nie widziałem, by była taka szczęśliwa - powiedział Cal szorstko. - Zamierzasz ją dobrze traktować, prawda?

- Tak.

- Miło mi to słyszeć. Wolałbym nie musieć zabierać cię do lasu, żeby sprawić ci baty.

Domenico był co najmniej piętnaście centymetrów wyższy i Cal raczej nie mógłby spełnić swojej groźby. Jednak Arlene widziała, że chociaż jej stary przyjaciel jest zadowolony z rozwoju wydarzeń, coś go jednak niepokoi.

- No i kiedy ślub? - spytał, koncentrując uwagę na jajkach z bekonem, które właśnie rozkładał na talerze.

- Jeszcze nie ustaliliśmy - odparła Arlene - ale pewnie zaraz po Nowym Roku.

- No to chyba wkrótce wyjedziesz. Nie ma powodu, byś została w tej rudercze.

- To nie jest rudera! - oburzyła się. - Ten dom jest po prostu trochę sfatygowany.

Jednak Domenico zrozumiał, o czym myśli stary zarządca.

- Cal, mój dom jest na Sardynii i tak, będziemy tam mieszkać przez część roku, ale tu jest dom Arlene, a ślub ze mną nie oznacza, że z niego zrezygnuje.

- Rozmawialiśmy o tym i mam nadzieję, że zajmiesz się wszystkim pod naszą nieobecność - dodała Arlene.

- Doskonale rozumiemy, że będziesz potrzebował pomocy, by przywrócić tę ziemię do kwitnącego stanu - kontynuował Domenico. - Tobie pozostawiamy zatrudnienie ludzi. Ale masz wystarczające doświadczenie, by wiedzieć, że podjąłbyś się ogromnego zadania, jeżeli zamierzasz sadzić już na wiosnę.

- A skoro nie możesz robić jednocześnie dwóch rzeczy - podjęła Arlene - pomyśleliśmy, że dobrze byłoby zatrudnić kogoś do prowadzenia domu. - Spojrzała na Cala pytająco. - Może jakieś małżeństwo? Kobieta, która by gotowała i sprzątała,

i mężczyznę do ogrodu w lecie, i odgarniania śniegu i rąbania drewna w zimie. Co o tym myślisz?

- Sam dobrze daję sobie radę. Nie podobałoby mi się, gdyby obcy mi się tu ciągle kręcili pod nogami. - Cal w zamyśleniu podrapał się po brodzie. - Ale mógłbym pogadać z moją siostrą Thelmą. Nadal mieszka na półwyspie Niagara, tam gdzie się urodziłem. Jest wdową i czuje się samotna, bo nie ma dzieci i z rodziny pozostałem jej już tylko ja.

- Myślisz, że zechce się tu przeprowadzić?

- Nie widzę powodu, dla którego by nie chciała. Nic jej tam nie zatrzymuje. I byłoby szkoda oddać ten dom po tej całej pracy, jaką w niego włożyłaś, żeby ładnie wyglądał.

- Oczywiście pokryjemy koszty przeprowadzki - powiedział Domenico - i będziemy płacić twojej siostrze przyzwoitą pensję, zresztą tak samo, jak i tobie.

Cal poprawił się nerwowo w krześle.

- Nie mam co robić z pieniędzmi. I nie dlatego tu byłem przez ten cały czas.

- Wiem - potwierdził Domenico. - Ale człowiek zasługuje na uznanie jego lojalności, a Arlene ufa, że pod jej nieobecność będziesz dbał o jej interesy.

- Poza tym, Cal, jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko pracownikiem - dodała Arlene. - Jesteś moją rodziną, a to przypomina mi jeszcze o czymś, o co chciałam cię prosić. Czy w dniu ślubu poprowadzisz mnie do ołtarza?

Patrzył na nią chwilę w milczeniu.

- Panienko, nie chciałabyś tego. Nie jestem taki elegancki jak wy. Nigdy nie byłem i nie będę.

- Albo ty, albo nikt, a będę potrzebowała silnego ramienia, by się na nim wesprzeć.

Cal wyciągnął z kieszeni czerwoną chustkę i wytarł nos.

- Zaraz jeszcze zażyczysz sobie, żeby psy wystąpiły jako druhny.

- To mi nie przyszło do głowy - roześmiała się. - Ale skoro o tym wspomniałeś... No więc, Cal? Czy mogę liczyć, że będziesz tam ze mną?

- A czy kiedykolwiek ci czegoś odmówiłem?

- Nigdy. I nigdy nie zaszłabym tak daleko, gdybyś mi nie pomógł.

- Będę musiał włożyć ten pingwini strój?

- Obaj go włożymy - zapewnił go Domenico z uśmiechem.

- A gdzie odbędzie się ta cała heca?

Arlene już miała powiedzieć, że jeszcze nie zdecydowali, ale Domenico ją uprzedził.

- Tu. Panna młoda powinna iść do ślubu z własnego domu.

- No to nie będzie tłumów. Ona nie zna tu nikogo prócz mnie.

- Nie będzie tak źle. Jeszcze nie spisaliśmy listy gości, ale moja rodzina na pewno przyjedzie. Przy ostatnim liczeniu było ich dwadzieścioro troje, a koło Nowego Roku zapewne będzie już dwadzieścioro czworo.

- Spędzają dużo czasu na robieniu dzieci, co?

- Między innymi, owszem.

- Wy też planujecie mieć dużo dzieci?

Domenico popatrzył na Arlene, spojrzenie miał tak gorące i intymne, że znów się zaczerwieniła.

- Ile tylko Arlene zechce.

- Przynajmniej dwoje - oświadczyła. - A jeśli chodzi o gości, to ja mam przyjaciół. Po prostu mieszkają za daleko, by często mnie odwiedzać, ale jestem pewna, że przyjadą na mój ślub. I mam nadzieję, że twoja siostra też przyjedzie. Zresztą dlaczego nie zadzwonisz do niej od razu i nie spytasz, czy się przeprowadzi do nas?

- Zaproś ją na Boże Narodzenie - zaproponował Domenico. - Niech się rozejrzy i zdecyduje, czy jej się tu spodoba.

Arlene pokręciła głową.



- Za dwa dni święta. Nie dostanie biletu.

- Mój samolot stoi niecałe czterdzieści kilometrów stąd, *cara*. Jeżeli siostra Cala się zgodzi, zdąży ją przywieźć na Wigilię.

- A sam nie potrzebujesz samolotu?

- Tylko dziś, na kilka godzin.

- Chyba na dłużej - powiedziała, kryjąc rozczarowanie, że Domenico tak szybko ją opuści. - Stąd na Sardinie jest daleko.

Pocałował ją w rękę.

- Kto tu mówi o Sardynii? Spędzam Boże Narodzenie z tobą, moja kochana. I gdyby nie to, że oni mają już swoje plany, sprowadziłbym całą rodzinę. Nie są przyzwyczajeni do takiej pogody, dzieciom spodobałaby się zabawa na śniegu. Ale musimy z tym poczekać do przyszłego roku. - Odwrócił się do Cala. - Cal, zadzwoń.

- Domenico, dziękuję ci - szepnęła Arlene, gdy Cal poszedł do telefonu. - Nie przewidziałam, że nasze nowiny tak go zaszokują. Wydawał się taki... pozbawiony własnego miejsca. Dziękuję, że go uspokoiłeś.

- To dobry człowiek, i zawsze będę mu wdzięczny za to, że był przy tobie, gdy go potrzebowałam. - Cmoknął ją w usta. - A teraz, chociaż wolałbym spędzić resztę tego ranka z tobą, muszę jechać na lotnisko i załatwić pewną drobną sprawę, ale będę z powrotem najpóźniej o trzeciej.

- Prowadź ostrożnie.

- Pewnie - powiedział, i jeszcze raz ją pocałował. - Mam za dużo do stracenia, by pozwalać sobie na wypadki.

W czasie, gdy Domenico był nieobecny, Arlene zadzwoniła do Gail, opowiedziała jej o najnowszych wydarzeniach i poprosiła, by została jej druzną. Potem pojechała do miasta.

Jeszcze wczoraj spodziewała się skromnych świąt, tylko dla niej i Cala, ale teraz zaplanowany pieczony kurczak z całą pewnością by nie wystarczył. Kupiła mięso na kotlety, szynkę, indyka i parę innych rzeczy, od razu na kilka dni.



Potem, mając jeszcze sporo czasu, poszła szukać prezentów dla swoich gości. Dla Thelmy kupiła szalik z owczej wełny i olejek do kąpieli, ale wybranie czegoś dla Domenica, który przecież miał wszystko, okazało się o wiele trudniejsze. W końcu zdecydowała się na podbite futrem skórzane rękawiczki i obiecała sobie, że w przyszłym roku lepiej się postara.

Po lunchu przygotowała pokój dla Thelmy, a potem, gdy nadeszła druga, a nadal nie było znaku od Domenica, upiekła szarlotkę, by pracą zagłuszyć niepokój. Domenica nadal nie było. Przygotowała faszerowane pieczarki i sałatę do kotletów. Wypolerowała świeczniki, aż błyszczały jak kryształ, i postawiła je pośrodku stołu w pokoju jadalnym, obok czerwonej poinsecji, którą kupiła w mieście. Domenico wrócił o wpół do czwartej.

- Martwiłam się - powiedziała, biegnąc w jego ramiona. - Myślałam, że zmieniłeś zdanie i nie wrócisz.

- Tego bym nie zrobił - zapewnił ją. - Niezależnie od tego, gdzie ty będziesz, *tesoro*, ja zawsze będę do ciebie wracał. A teraz ubierz się ciepło i pokaż mi swój ogród. To widok, do jakiego nie jestem przyzwyczajony.

Wzięli psy i poszli nad jezioro. Powietrze było rześkie, pachniało dymem drzewnym. Scena jak z bożonarodzeniowej pocztówki, z bladoniebieskim niebem i oszronionymi drzewami.

- Będę za nimi tęskniła - powiedziała Arlene, patrząc za psami, które biegły brzegiem. - Były dla mnie taką pociechą.

- Chciałabyś je zabrać na Sycylię?

- Nie. To psy Cala. Ich miejsce jest tutaj, razem z nim.

- Będiesz często tu wracała - pocieszył ją. Zatrzymał się przy wysokiej skałce. - A na razie mam dla ciebie coś, co może odwróci twoje myśli od tęsknoty za psami. Przyjmij to jako obietnicę na przyszłość. Zdejmij rękawiczki, ukochana.

Wyjął z kieszeni jedwabne puzderko i otworzył je. Arlene zobaczyła brylant na platynowej obrączce. Jego blask niemal ją oślepił. Zachwycona patrzyła na pierścionek, klasyczny w swojej prostocie.

- Gdzie go dostałeś? - wyszeptała.

- W Vancouver. Zadzwońłem do znajomego jubilera i polecałem, żeby wybrać to, co mi się wydawało odpowiednim pierścionkiem zaręczynowym - mówił, wkładając go jej na palec. - Zdecydowałem się na okrągły brylant, bo wiedziałem, że będzie idealnie pasował do twojej ręki. A ty, jak sądzisz?

Tylko pokiwała głową. Zabrakło jej słów, by opisać nie tyle styl i jakość klejnotu, co mężczyznę, który zadał sobie tyle trudu, by go dla niej kupić.

- To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Muszę teraz lepiej dbać o paznokcie. Domenico, przytłacza mnie twoja dobroć. - Pomyślała o rękawiczkach, które mu kupiła. - Ale ja nie mam dla ciebie nic, co by temu chociaż w najmniejszym stopniu dorównywało.

- Jesteś szczęśliwa?

- O tak!

- To jedyny prezent, jakiego pragnę.

- Jestem taka szczęśliwa, że aż się boję.

- Nie bój się - powiedział, obsypując lekkimi pocałunkami jej oczy i twarz. - Zaslужujemy na to, moja ukochana.

Z domu doleciał ich jakiś krzyk. Obejrzelisię. Cal stał na progu i machał do nich.

- Chyba ktoś do ciebie dzwoni - stwierdził Domenico, usiłując usłyszeć, co Cal krzyczy. - To musi być ważne, jeśli tak cię wzywa. Biegnij, *cara*, a ja przyprowadzę psy.

Ślizgając się na oblodzonej ścieżce, Arlene pobiegła do domu.

- Co się stało? - spytała bez tchu.

- Dzwonił lekarz, u którego byłaś. Mówi, że to ważne, i żebyś oddzwoniła przed zamknięciem przychodni, bo potem będzie otwarta dopiero po świętach.

Arlene przeraziła się. Strach zniweczył całą radość, jaką jeszcze przed chwilą odczuwała. Była za bardzo szczęśliwa. I myślała, że to szczęście ma zagwarantowane na zawsze. Teraz spotkała ją za to kara.

- Och, Cal!

Wcisnął jej w rękę kawałek papieru.

- To numer, panienczko. Lepiej zadzwoń i dowiedz się, o co chodzi.

Poszła do małego gabinetu na końcu holu i niemal osunęła się na krzesło za biurkiem. Ręka jej drżała tak bardzo, że musiała dwa razy wybierać numer, a potem czekała bez końca, zanim odezwała się pielęgniarka.

Wreszcie usłyszała głos lekarza.

- Arlene, przysłyż wyniki twojego badania krwi - powiedział.

- Czy są niedobre? - spytała nienaturalnie wysokim głosem.

- To zależy.

Serce jej waliło, zemdliło ją. Właśnie teraz, gdy otwierał się przed nią raj, wkracza zły los i go jej odbiera.

- Nie rozumiem.

- W laboratorium zrobili wszystkie badania, łącznie z testem na ciążę. Masz wysoki poziom hCG. To hormon ciążowy, mówiąc zwyczajnym językiem.

Słuchawka wypadła jej z ręki. Nerwowo ją podniosła.

- Jesteś tam? - spytał lekarz.

- Tak. - Wzięła głęboki, uspokajający oddech. - Chcesz mi powiedzieć, że jestem w ciąży?

- Sądząc po wyniku badań, nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Nic nie podejrzewałaś?

- Nie. Ani przez chwilę.

- Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

Zastanowiła się. Ostatnio tyle się zdarzyło.

- Nie jestem pewna, ale chyba na początku listopada.

- A więc sześć tygodni. Nie miałaś żadnych objawów? Mdłości?

- Nie. Tak jak ci mówiłam, byłam bardziej zmęczona niż zwykle, ale to pewnie z powodu przepracowania.

- Zatem sugeruję, byś przez następne kilka miesięcy zrzuciła pracę na kogoś innego. Twoje badania są w porządku, ale lepiej nie ryzykować, zwłaszcza podczas pierwszego trymestru. - Chwilę milczał, potem spytał: - Mam ci pogratulować, czy też to nie jest dobra wiadomość?

- To... cudowna wiadomość! Możesz spokojnie gratulować. Ale nie rozumiem, czemu tak nalegałeś, bym od razu oddzwoniła. Jesteś zupełnie pewny, że nie dzieje się nic złego?

- Powinniśmy się umówić na dokładniejsze badanie po świętach, ale jestem pewny, że wszystko jest w porządku. Jednak czeka nas okres przyjęć i chciałem, żebyś wiedziała, że nie powinnaś pić alkoholu.

- Och. Nie, oczywiście, że nie.

- No to by było na tyle. Nie przejmuj się niczym, bo naprawdę jesteś zdrowa. Skontaktujemy się w przyszłym tygodniu. Wesołych świąt!

- Nawzajem - odparła. Odwiesiła słuchawkę i tak siedziała, próbując przyjąć do wiadomości nowinę.

A więc spodziewa się dziecka. Dziecka Domenica. I wiedziała, kiedy zaszła w ciążę. Jedyne raz, gdy nie używali zabezpieczenia, w piątek w Paryżu...

Objęła brzuch rękami. Tam rośnie jego dziecko. Przez cały ten czas, kiedy płakała za Domenikiem, tęskniła, myślała o nim, jego dziecko rosło. Nóżki, paluszki, rączki, uszy, a gdyby to w ogóle miało jakieś znaczenie, pewnie wkrótce dowiedziałaby się, jakiej jest płci.

Domenico i Cal czekali na nią w holu. Cal był blady, w niebieskich oczach Domenica zobaczyła strach.

Podbiegł do niej, chwycił za ramię i wciągnął do bawialni. Cal następował im na pięty.

- Mów! - nakazał Domenico, obejmując ją. - Arlene, razem sobie z tym poradzimy. Dostaniesz opiekę najlepszych lekarzy, najlepsze leczenie.

Och, postępowała okrutnie.

- A więc - zaczęła, przeciągając słowa tak, że Cal miał ochotę ją uderzyć - Domenico, mam dla ciebie prezent na Boże Narodzenie, i to taki, że usuwa twój piękny brylant w cień. Ale będzie gotowy dopiero za kilka miesięcy.

Uśmiechnęła się słodko do obu mężczyzn.

- Jestem w ciąży.

- Do licha! - wykrzyknął Cal i osunął się na fotel.

Domenico aż się zachwiał.

- W ciąży? - spytał takim tonem, jakby nie znał tego słowa.

- Tak. To znaczy, będziemy mieli dziecko. Chyba w sierpniu. Powiem ci dokładniej po wizycie u lekarza w przyszłym tygodniu.

A potem, ponieważ nie mogła pomieścić w sobie tak wielkiego szczęścia, zaczęła się śmiać.

- Domenico, będziemy mieli dziecko! A ty, Cal, zostaniesz dziadkiem!

W następnej chwili już szlochała w ramionach ukochanego, a on szeptał jej do ucha podziękowania i mówił, że kocha ją i jest dla niego cenniejsza niż cokolwiek innego na świecie.

Psy wyczuły podniecenie ludzi i zaczęły szczekać. A Cal się rozplakał.

Długą chwilę trwało, zanim wszyscy trochę się uspokoili, chociaż Arlene wiedziała, że już nigdy nie będzie tak, jak przedtem. I wcale tego nie chciała. Od tej chwili mogło być tylko lepiej.

Domenico wyciągnął butelkę szampana, którą kupił w Vancouver, i nalał Calowi i sobie. Dla Arlene Cal znalazł sok. Lampki na choince rozświetlały mrok. W kominku płonął ogień. Na dworze znów zaczął sypać śnieg.

Domenico przyciągnął Arlene i zaborczo objął ją w pasie.

- Za przyszłość - powiedział, unosząc kieliszek. - Za Nowy Rok, ślub i przede wszystkim za kobietę, która nadała mojemu życiu prawdziwy sens. Za ciebie, Arlene, moja ukochana. Dziękuję ci z głębi serca za wiarę, że będę takim mężem, na jakiego zasługujesz. Kocham cię i przysięgam, a Cal jest tego świadkiem, że do końca moich dni będziesz dla mnie największym skarbem.

Jej serce wezbrało szczęściem. Wreszcie była w domu z mężczyzną, którego kochała.



RS